

ROLA

Rok VII.
Kraków, dnia 21 września 1913 r.
Nr. 38.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 3 do 6. Telefon nr. 2346.

STARCY.

Życie prędko przejdzie, minie,
Młodość — jeden dzień.
Wieczór idzie — wszystko gaśnie
I mogilny czeka cień.

Ludzkie życie dziwnie jest podobne do dnia. Ma ono złoty i pogodny ranek, ma południe skwarne i wieczór, w którym już mrok zapada.

Ranek to młodość. Czem bliżej ku południowi, tem więcej powinności, pracy i trudu. Teraz życie już nie jest zabawą, ani śmiechem, lecz obowiązkiem i pracą.

Powoli, nieznacznie mrok przedwieczorny zbliża się, coraz ciszej i ciemniej, aż wreszcie dzień się kończy i nadchodzi noc.

Smutna to, bardzo smutna pora życia dla człowieka. Czuje on, iż już przeszły lata siły i zdrowia, a nie wrócą nigdy. Wie on, iż już tworzyć planów o nowych pracach i zamiarach nie może, a tak stojąc niby u kresu długiej drogi, tęskni za tem, co minęło i wzdycha do tego, co już nie wróci.

Gdybyż to starość i tak smutną umiano uweselić i rozjaśnić!

Ale stary ojciec często zawadza, a matka staruszka często zdaje się naprzykrzona i nudna.

Starego ojca rady zdają się niepraktyczne, a matki siwej słowa jeszcze czasem i wyśmiane bywają.

Jakie smutne i nieszczęśliwe takie życie!

Kazimierz Brodziński rzekł:

— Szanuj w starcu ojca twego, syna w dziecięciu, córkę w kobiecie, a siebie w każdym człowieku!

Gdy nauczymy nasze dzieci szanować w każdym starcu powagę lat wieku i godność wieku, to i my sami w wieczornych chwilach życia szanowani będziemy.

Szanuj w starcu ojca twego!

W Polsce — w bardzo dawnych czasach tak szanowano starców, iż na ich sądy, wyroki i rady we wszystkiem się zgadzano. Syn wobec ojca nie śmiał usiąść, młody wobec starca nie śmiał się odzywać, chyba zapytany, a ta cześć oddawana starcom przynosiła dobre plony.

Dziś inne czasy i inne zwyczaje.

Młodzi, trochę poduczeni, pogardzają ojcami nieumiejącymi czytać. Ci, co trochę w świecie bywali, nie chcą już słuchać rad siwych ludzi, którzy za granicę swej wioski ledwie o milę wyszli. Nowe hasła, cele, drogi zdają się młodym zawsze lepsze od tego, co bywało, a to, co starzy cenią i szanują, już bywa wyśmiane i pogardzone.

Czyż ludzie szlachetni i roztropni nie mogą starości uszanować i uczcić jak należy, chociaż idą z postępem i zdobywają nowe drogi?

Tym ludziom należy starość i tak bardzo smutną i ponurą uczynić trochę jaśniejszą i pogodniejszą.

A uczynią tak tylko ci, których w domu rodzinnym nauczono czcić i szanować starość.

Gdy dziś nauczysz, matko, by dzieci twoje były dobre i cierpliwe dla ubogiej staruszki, która na łaskawym chlebie przy was żyje, to zbierzesz za to plon złoty, bo dzieci i ciebie w twej starości uszanować potrafią.

Dziś wzbudzisz w sercu miłość i litość dla staruszka ojca, który już może i ciężarem się staje, ale odpłaci ci Bóg hojnie, bo nie zaznasz starości smutnej.

W domu rodzinnym powinny dzieci uczyć się tego, by dla starości miały i cześć i uszanowanie.

Choćby to był najuboższy żebrak, jeśli włos siwy ma, niech go dzieci poszanują!

Wielkie to słowo: cześć dla starców! ale je wielkiem sercem zrozumieć trzeba.

Wszystko jedno, kto on, starzec ów nad grobem stojący — ojciec czy nie ojciec, kapłan czy nauczyciel, mędrzec czy nieuczony, ubogi czy bogaty, znany czy nieznany, ale już stary, już życia drogę przeszedł, już dni jego policzone, już smutek dookoła, więc nie czyń mu bólu, nie bądź niegrzecznym i niecierpliwym, uszanuj go.

Rok Burzy.

(Opowiadanie porucznika z r. 1863).

51. CHŁOPSKI BATALION.

Kontent, żem przecież otrzymał jakieś polecenie, jakąś czynność w tej zaczynającej się bitwie, bo tyralierskie *) strzały dawały się już słyszeć; że nie będę się plątał jak piąte koło u wozu, spiąłem konia i pognałem do wsi. U jej wylotu samego spotkałem dzielnego majora Markowskiego, siedzącego na swej grubej, niskiej, myszatej kobyle, ubranego w jakąś szarą kurtkę i sudecki kapelusz, z karabinem przerzuconym przez plecy, jak szykował swój nieszczęśliwy batalion, który już w trzech czwartych częściach zdołał się wygrzebać ze śmiertelnych uścików podwód i wozów.

Zakomunikowałem rozkaz generała majorowi Markowskiemu. Rękami strzepnął rozpaczliwie, i wpatrując się we mnie krwawemi, rozgorączkowanemi oczami, zawołał głosem ochrypłym:

— A cóż ja zrobię do pioruna? Ochrypłem już od ciągłego krzyku, a moje chłopy robią, co mogą. Widzisz, jak ciężko pracują.

Batalion powoli się zbierał i szykował. Siedząc na koniu obok nieustannie krzyczącego majora, patrzałem w milczeniu na te ciche, zmęczone mocno szeregi tych parobczaków, przeważnie bezwąsych, w świtki, w magierki, w różnolitą pstrociznę barw przybranych, po większej części bosych, ale uzbrojonych w karabiny i z troskliwością dźwigających swe, przepełnione nabojami ładownice. Karabiny, jak to było widać, były najrozmaitszej konstrukcyi i miary, niektóre bez bagnetów, niektóre nawet skałkowe, ale nie mniej przeto w rękach tych dzielnych, czerwonych od wiatru i słońca, zdrowych i barczystych chłopów, mogły się stać straszną bronią. Zauważyłem przytem, że byli nadzwyczaj karni, wbrew temu, co mi niedawno mówiono, karniejsi od innych batalionów, a zwłaszcza od kawaleryi, którą widać było, jak niesforną masą kręciła się po polu, i niepewna swą postawą zapowiadała smutny koniec temu starciu.

Tymczasem tam, na polu, bitwa rozpoczęła się na dobre. Wzmógł się i każdej chwili wzrastał ogień karabinowy, któremu niebawem wtórować poczęły działa. To też major Markowski coraz bardziej niespokojny, gdy nakoniec batalion zdołał się w zupełności wydobyć z labiryntu wozów i uszykował się u wylotu wsi w kolumnę marszową, zwrócił się do mnie i rzekł:

— Mój poruczniku, leć do jenerała i powiedz mu, że już idę, spytaj jaką pozycyę mam zająć i donieś mi z łaski swej o tem.

— Dobrze! — odrzekłem i popędziłem co koń wyskoczy.

Ale zaledwie wypadłem za wieś, gdy musiałem się zaraz zatrzymać. Między mną bowiem a dwoma innymi batalionami z generałem Bosakiem, znajdowała się jazda nieprzyjacielska. — Skorzystała ona z przerwy, jaka się wytworzyła wskutek opóźnienia batalionu i odcięła ten ostatni od sił głównych. Jazda ta, złożona przeważnie ze strzelców konnych, zwanych dragonami, w imponującej masie sześciuset koni, posuwała się lekkim kłusem, mając przed sobą wyjących i piszczących kozaków, i baterye artyleryi konnej na skrzydłach. Wobec tego o przedostaniu się do generała i wypełnieniu rozkazu majora Markowskiego nie mogło być nawet mowy. Zawróciłem więc, by powrócić do trzeciego batalionu, zwłaszcza, że kozacy mię już dostrzegli i z piskiem, wyciem, pochyleni na niezgrabnych ale wytrwałych murzynkach, puścili się, krzycząc:

— Hej! nie ujdziesz!

Ale nie czekałem na nich, lecz pędem wróciłem do batalionu, który w zwartym szeregu, biegiem wydobywał się z opłotków, mając na czele swego majora, kłusującego na kobyle myszatej. Dostrzegł on już jazdę nieprzyjacielską i doskonale pojmował położenie, bo rzekł do mnie:

— Nie mogłeś już dojechać. Ano... trudno... spróbujemy utorować sobie drogę bagnetem.

Wybiegliśmy już na czyste pole i ciągle w kolumnie marszowej, ściśniętej mocno, posuwaliśmy się naprzód wprost na jazdę nieprzyjacielską, zastępującą nam drogę. Niby rój os, opadli nas zewsząd, ale major surowo rozkazywał:

— Nie strzelać!

Nie strzelaliśmy więc, choć kozacy snuli się ze wszystkich stron, wyjąc przeraźliwie, nie ośmielając się jednak zbyt blisko przysuwać.

Zajęty tą lekką jazdą, nie zważałem, co działo się na polu bitwy, która już wrzała w całej sile. Ale major Markowski miał na wszystko oko. Nagle zatrzymał swą kobyłę i głosem donośnym ale spokojnym zakomenderował:

— Batalion stój!

Batalion stanął, i wtedy ja rozglądać się począłem, co mogło być przyczyną tego osobliwszego w naszem położeniu rozkazu. Ledwiem atoli rzucił okiem na pole, odrazu odgadłem wszystko. Jazda, obaczywszy odosobnienie naszego batalionu i uważając go za łatwą zdobycz, gotowała się uderzyć na niego. Widziałem, jak błyszczały szable oficerów niby węże ogniste pod słońce, jak trąbki zagrały i formowały się kolumny do ataku w liniach szwadronowych. Artylerya wypadła na czoło i działa odprzodkowywano, by plunąć nam w oczy wprzódy kartaczami, a zachwianych ogniem stratować następnie potężnym atakiem sześciuset koni!

Po lewej naszej stronie, w odległości kilkudziesięciu kroków od drogi, którą posuwaliśmy się, rosła na polu samotna grusza, stara zapewne bardzo, bo rozłożyste jej konary szeroko sięgały. Ku tej to gruszy major Markowski kazał, biorąc pół obrotu w lewo, biegiem batalionowi zbliżyć się, i gdyśmy tu nakoniec stanęli, głosem surowym, ale zawsze brzmiącym dźwiękiem nieustraszonego spokoju, zakomenderował:

— Według czwartego i piątego plutonu, formuj karabatalion, na prawo i na lewo, marsz!

Przy formowaniu czworoboku nie obeszło się bez pewnego zamieszania i nieładu, co wywołało siarczyste klątwy ze strony majora, ale ostatecznie dookoła gruszy utworzył się las bagnetów. Czas był już wielki, bo jazda nieprzyjacielska na błysk podniesionych do góry szabel oficerskich, ruszyła kłusem do ataku.

Ja na moim siwku, a major na swej myszatej kobyle schroniliśmy się do środka czworoboku i patrzałem z pewnym niepokojem na zbliżającą się jazdę nieprzyjacielską. Szła ona w trzech kolumnach o szwadronowym froncie, widocznie zamierzając z trzech stron na nas uderzyć. Przed nią, w rozproszonej gromadzie, pędzili, co koń wyskoczy, kozacy z piskiem i wyciem, potrząsając długiemi swemi spisami, od czasu do czasu dając ognia z janczarek. *)

*) Tyralierami nazywa się z francuska pierwszy szereg żołnierzy, rozsypanych w łańcuch i strzelających.

*) Janczarki, krótkie strzelby starego gatunku.

Wreszcie w odstępach między szwadronami galopowała artylerya konna. Czas był prześliczny; słońce wzbiło się na jasne, przejrzyste, błękitne niebo w całym swoim blasku, a przy jego ciepłych, złocistych promieniach, pola, żółkniejące drzewa, a nadewszystko purpurą jesienną przyodziana grusza, pod którą batalion się schronił, tworzyły bardzo piękny i bardzo melancholijny widok.

Gdy ostatecznie czworobok się formował, major zawołał głosem donośnym:

— Chłopy! gdy mi który bez rozkazu strzeli, jak psu w łeb wypalę! Słuchać komendy!

W batalionie zaległa poważna cisza. Rozgorączkowane, czerwone od biegu i wzruszenia, potem oblane twarze tych parobków od pługa i sochy lekki wiatr chłodził, a stara grusza sypała swe purpurowe liście. W dygoczących rękach brzęczały karabiny, słońce na ostrzach bagnetów zapalało błyskawiczne blaski, a drżące usta stłumionym szeptem słały cichą modlitwę: »Kto się w opiekę podda Panu swemu«.

Jazda rosyjska w strojnie wyciągniętych liniach zbliżała się kłusem. Widok był przepyszny. Z pod kopyt kilkuset koni wzbiła się pod błękitne niebo cała chmura pyłu, wśród której migotały szable, czerwieniały kołnierze, a ziemia dudniała i drżała. Nagle działa, dotąd pędzące kłusem, zatrzymały się, rozległa się komenda, odprzodkowano je w jednej chwili, błysnęły i ze strasznym hukiem i szumem żygnęły na ściśnięty nasz batalion gradem kartaczy. Na szczęście w pośpiechu źle mierzono i pociski poszły górą, obsypując nas tylko całą masą żółtych i purpurowych liści starej gruszy. W tejże chwili rozległy się trąbki, zagrzmiało potężne »hura!« i jazda moskiewska ruszyła do ataku.

Chwila była bardzo tragiczna. Co prawda, wątpiłem mocno, czy te bose, obdarte, dygocące od strachu chłopy, szepczące »Zdrowaśki«, wytrzymają ten atak, ale major miał minę, jak zawsze spokojną i ciągle powtarzał:

— Nie strzelać! nie strzelać! aż ja każę.

I chłopcy nie strzelali. W ten sposób jazda zbliżyła się do nas na jakie trzydzieści kroków, tak, że widać już było rozgorączkowane, straszne twarze jeźdźców, ich oczy szeroko rozwarte, błyszczące żądzą mordu, czuć było nieomal ciężki, dyszący oddech tych kilkuset ludzi i koni.

Nagle major podniósł szablę w górę i zakomenderował, jak zawsze, spokojnym głosem:

— Batalion! rotami ognia!

Zagrzmiały strzały zrazu niesforne, nieregularne, ale powoli szła już palba równa, ciągła, nieustająca. Owionął nas dym i przez chwilę nic nie było widać, ale gdy wiatr go rozpędził, ujrzeliśmy jazdę nieprzyjacielską, zbitą w niekształtną gromadę i uciekającą, co koń wyskoczy, a na polu czerniały liczne trupy jeźdźców i koni...

— W szeregach na ten widok zagrzmiał radosny okrzyk:

— Niech żyje!... a major wołał:

— Chłopcy! dzielnieście się spisali, ale słuchać komendy, bo inaczej dyabli was wezmą!

Zaraz też kazał czworobokowi zwinąć się w kolumnę marszową i biegiem ruszyć naprzód. — Nie uszliśmy jednak i pięćdziesięciu kroków, gdy obsypani zostaliśmy gradem kartaczy. Jakkolwiek pierwsze strzały poszły górą i z szumem przeleciały ponad naszemi głowami, następne były lepiej wymierzone, raz po razu padały w środek kolumny i kilku ludzi z głuchym jękiem zwaliły na ziemię.

— Wojtek zabity! Grzela ma urwaną nogę! O! laboga! laboga! — słychać było w szeregach.

Ale major Markowski na wszystko miał oko. Zawrócił konia i przebiegając wyciągniętym kłusem od czoła do ogona kolumny, wołał groźnie:

— Milczeć tam w szeregach! Szlusuj!

Milczano więc, szlusowano i pędzono naprzód. Niebawem z pośród kolumn i dymu dały się słyszeć znowu trąbki i zaczęły wychylać się kolumny jazdy moskiewskiej. Gotowano się do powtórnej szarży.

— Batalion stój! — zagrzmiała znowu komenda majora.

Teraz stanęliśmy w szczerem polu. Nie osłaniała nas swym cieniem od palących promieni słońca, stara, rozłożysta grusza. Dookoła nas roztaczało się nagie, równe pole, po którem orały kartacze, kłębiły się całe chmury dymu, unosił się grzmot dział i wrzawa trudna do opisania. Pozostałych dwóch batalionów z jenerałem Bosakiem nie było widać i prawdopodobnie, przypuszczać należało, że korzystając z zajęcia się nieprzyjaciela chłopskim batalionem, wysunęły się szczęśliwie z żelaznego pierścienia i umknęły, zostawiając nas na ofiarę. Widocznie te same myśli przebiegały po głowach parobków, bo przy formowaniu powtórnego czworoboku większy jeszcze, niż za pierwszym razem, powstał zamęt i postawy były mniej zdecydowane. Wszelako przywykli do swego komendanta, trzymani przezeń w surowej karności, na głos jego podnieśli głowy, sformowali się jak należy i pewnem było, że w kaszę sobie nadmuchać nie dadzą.

— Chłopy! — wołał major — trzymać się dobrze, słuchać komendy, a sprawimy im taką łaźnię, że więcej nie ośmielą się na nas uderzać i do swoich się prędzej dostaniemy. Czy słyszycie?

— Słyszymy!

— Grzela, czego hyclu rodziawiłeś gębę? Czy chcesz, żeby ci kula w nią wpadła?

Śmiech rozległ się w szeregach, a Grzela, parobek czerwony jak rydz, co prędzej zamykał swą nieszczęśliwą gębę, ale major osiągnął swój cel, uśmierzył zgnębione i wątpiące serca, dodał im otuchy i zrobił to, że gdy jazda nieprzyjacielska po raz drugi na nas się rzuciła, została powitaną jak należy, i większą jeszcze ilością trupów ludzi i koni okupiła swe zuchwałe zamiary. Doprawdy serce rosło, patrząc, jak te chłopcy wiejskie heroicznie walczyli, jak w rozpaczliwem swem położeniu do ostatka dumnie dzierżyli sławę dobrego żołnierza.

Jeszcze jeden taki atak musieliśmy wytrzymać, atak jak poprzednie, dzielnie odparty, i zostawiwszy na pobojowisku kilkudziesięciu zabitych, a unosząc ze sobą takąż ilość rannych, przedarliśmy się nakoniec przez zastępującego nam drogę nieprzyjaciela i połączyliśmy się zdyszani, czarni, od dymu i kurzu, z resztą oddziału, witani przezeń okrzykami radości i uniesienia. A stary major, odprowadziwszy swych »chłopów« na tyły walczących szeregów, jechał stępo przed odpoczywającym batalionem z odkrytą głową i gadał, uśmiechając się dobrodusznie:

— Chłopcy, dzielnieście się spisali, ani słowa, choć szelmy jakieś strzelaliście nierówno. Grzela! zamknij mi gębę, bo wyglądasz, jakbyś chciał mię połknąć.

Batalion śmiechem odpowiadał na to, Grzela, czerwony jak burak, co prędzej zamykał swą gębę.

Nie będę tu opisywał dalszego ciągu walki, w której zresztą udziału nie brałem; pozostałem już przy moim dzielnym chłopskim batalionie, który serdecznie pokochałem. To tylko dodam, że po kilko godzinnym boju, bardzo zaciętym, wydobyliśmy się z obławy stosunkowo szczęśliwie, choć z poważnemi w ludziach i taborze wojennym stratami.

(Dokończenie nastąpi).

Mały misyonarz.

Pewien gorliwy kapłan przedarł się był aż do samego środka wysp, do Hiszpanii należących, po zachodniej stronie Afryki położonych Fernando Po i Annabon, i zastał tu mieszkańców, prawie dziko jeszcze i w najgrubszem pogaństwie żyjących. Powróciwszy do Madrytu (stolicy Hiszpanii), przez dwa lata wszelkich dokładał starań, żeby na owe wyspy wysłano misyonarzy, którzyby tamtejszym mieszkańcom, w bałwochwalstwie żyjącym, wiarę chrześciańską opowiadali.

Wreszcie po zwalczeniu różnych przeszkód wybrał się na początku 1855 r. ks. Martinez, proboszcz z Chambery, w towarzystwie kilku młodych kapłanów, robotników i różnych rzemieślników w podróż, by na owych wyspach opowiadać naukę Chrystusa Pana.

Kapłani mieli nauczać wiary św., a robotnicy i rzemieślnicy uczyć tamtejszych mieszkańców rzemiosł i wykonywania robót za pomocą doskonalszych narzędzi, aniżeli tam było znane. Misyonarze ci, przybiwszy do brzegów wysp owych, ujrzeli na opoce nad brzegiem morskim niezgrabnie z nieociosanego drzewa zrobiony krzyż wystawiony, a około niego klęczącą gromadkę dzieci murzyńskich, której chłopczyna biały, równego z niemi wieku, przewodniczył. Dzieci te właśnie odmawiały razem »Pozdrowienie Anielskie« w hiszpańskim języku. Zdziwili się niemało misyonarze, że tutaj, gdzie podług ich mniemania, żadnej znajomości chrześciaństwa nie było, już znaleźli krzyż wystawiony. Chłopiec biały, skoro ich tylko spostrzegł, zawołał po hiszpańsku:

— Ks. proboszcz! ks. proboszcz!

Natychmiast i oczy wszystkich dzieci murzyńskich zwróciły się na misyonarzy. Misyonarze przystąpili do chłopca białego i prosili go, żeby ich zaprowadził do rodziców swoich. Chłopiec zaś począł im opowiadać, iż może być rok temu, jak po rozbiciu okrętu, na którym z rodzicami płynął, na tę wyspę się dostał, zostawszy odłączonym od swoich rodziców i od tego czasu już ich więcej nie widział. Tu od kiku murzynów przyjętym i zarazem z ich dziećmi wychowanym został. Przypominał on sobie, co daleko stąd i nim z rodzicami swoimi z domu odpłynął był widział i zrobił ten oto krzyż i dzieci murzyńskie nauczał modlitw, jakie w domu codzień z rana i wieczór z matką swoją mawiał. Odtąd przychodzą co dzień pod ten krzyż, które same wystawiły, aby tu na kolanach modlitwy odprawiać.

— A więc to są chrześciańskie dzieci — pytali się misyonarze — bośmy je widzieli razem z tobą się modlące?

— Nie wiem, czy są — odpowiedział chłopiec — ale one widzą, jak ja się modlę, więc klękają obok mnie i już wiele słów z moich modlitw na pamięć się nauczyły; ale nie wiem, czy je też rozumieją, bo ja ich języka nie znam. Nauczyłem ich robić znak krzyża św. i nigdy też nie zapominają się przeżegnać, ilekrotnie mimo tego krzyża przechodzą.

— A któż to ten krzyż wystawił?

— Ja — odpowiedział chłopiec. — Przypomniałem sobie krzyże, jakie w naszym kraju na polach widziałem i dlatego tu też taki zrobiłem i wystawiłem go z temi dziećmi.

Skończywszy swoje opowiadanie, nie mógł się chłopczyna dłużej powstrzymać od łez i szlochania. Pytali go się misyonarze, jak się nazywa, lecz już sobie ani imienia swego, ani też ojczyzny i okolicy, w której dawniej mieszkał, nie mógł przypomnieć. Nie wiedział też doskonale, jak długo już na tej wyspie zostawał, gdyż nie posiadał żadnego sposobu do oznaczenia.

Wielbili misyonarze niedościgłe wyroki Boga i dzięki Mu składali za to, że dziecię, nieumiejące ani czytać, ani pisać, nieznające jeszcze dokładnie tajemnic wiary św., takim sposobem nawrócenie tego ludu pogańskiego tak dobrze rozpoczęło. Chłopiec ten, pierwszy Apostoł owej wyspy, pozostał tam i z pewnością, że misyonarzom, którzy dotąd przybyli, stał się później bardzo użytecznym, nauczywszy się języka i poznawszy doskonale obyczaje tego ludu.

Czytajmy gazety i książki!

Czem jest słońce dla tej ziemi,
Czem chleb, który codzień jemy,
Czem odzienie dla nagiego,
Czem jałmużna dla biednego.
Tem są książki i gazety,
W nich nauki i podniety.

Ej, bracia włościanie, bądźmy o to dbali,
Żebyśmy gazety i książki czytali,
Niechaj nam nauka już w głowie zaświeci!
By nam nie mówiono, żeśmy małe dzieci,
By nam nie mówiono, żeśmy ciemna masa,
Że chłop bez nauki, to jakby wilk z lasa.
Czas to szczere złoto, z niego korzystajmy,
Zamiast iść do szynku, gazety czytajmy,
A wtenczas powiemy, jak to dobrze przecie,
Kiedy się człek dowie, co się dzieje w świecie.
Ile to przykładów, jak tam nędznie żyją,
Ci co nie pracują, a wódeczkę piją.
Jakto nędznie żyją, jakto giną marnie,
Kiedy ich majątek żyd za wódkę zgarnie.
To znowu czytamy, jak się człek bogaci,
Gdy pilnie pracuje, a czasu nie traci.
Niejeden pomyśli, a nawet i powie,
(Lecz to tylko taki, co ma pustki w głowie):
— „Niech sobie panowie gazety czytają,
Bo od włościan więcej na to czasu mają!“
Ciemno jako w rogu jest u tego człeka,
Co stroni od gazet i książek zdaleka.
Pieniądz na gazetę stokroć nam się zwraca;
Przy kieliszku przecież więcej się utraca.
Oj, bracia włościanie, powinność to nasza:
Niech jeden drugiego do gazet zaprasza,
Niech jeden drugiego pouczy w tem szczerze,
Iż z książek i gazet oświatę się bierze!
Więc koło oświaty pracujmy co siły,
Bo nas już narody inne wyprzedziły.
Jakto Niemcy, Francya, Anglia, Belgia,
Przez wysoką naukę szczytów się dobija.
Jednak wszelka nauka wcale nic nie warta,
Jeśli nie jest na dobrej podstawie oparta.
Kto chce stać się człowiekiem prawdziwym na świe- [cie.
Musi walczyć bez przerwy, jak to dobrze wiecie.
Z przykrościami, z ciężarem troski niezbłaganej,
A których szeregi znają wszystkie stany.
Od królewskiego berła do żebraków od kija,
Bo troska nikogo przecież nie pomija,
I nie ten szczęśliwy, co ma wielkie mienie,
Lecz ten, co posiada spokojne sumienie.
Jednakże tych trosk przyczyniamy sami,
Życiem nad stan, ciemnotą, naszemi wadami.
Wszak tego nieraz gorąco pragniemy,
Czego w żaden sposób posiąść nie możemy.
Poprzestajmy więc na tem co nam Bóg udzieli,
Pracujmy, byśmy codzień coś więcej umieli,
Niechaj jeden drugiemu w niczem nie zazdrości
Wtenczas i u nas zgoda i jedność zagości.
Niechaj każdy wypełnia swoje obowiązki
Tego to nas nauczą gazety i książki.

Kiepura, wójt.

Odpust w miasteczku.



W pierwszych wiekach chrześcijaństwa nakładał Kościół święty surowe pokuty za popełnione grzechy. Z czasem dla rozmaitych powodów pokuty te zmniejszano a natomiast celem zwolnienia od kar doczesnych ustanowił Kościół święty odpusty.

Aby dostąpić odpustu czyli odpuszczenia kar doczesnych, potrzeba do tego następujących warunków: 1) trzeba być w stanie łaski poświęcającej, a więc bez grzechu śmiertelnego; 2) wypełnić wszystkie warunki, przywiązane do poszczególnego odpustu; 3) w celu uzyskania odpustu zupełnego trzeba żałować nawet za grzechy powszednie i mieć je odpuszczone.

Jeżeli n. p. mówimy, że wtedy a wtedy, w tym a w tym kościele odbywa się odpust, to znaczy, że w oznaczonym dniu i w oznaczonym kościele można dostąpić odpuszczenia kar doczesnych, jeżeli się dopełni warunków przepisanych do uzyskania odpustu.

Jak widzimy więc, ustanowienie odpustów jest ogromnem dobrodziejstwem dla ludzkości, ale, niestety, dziś jest mało takich, którzy to dobrodziejstwo rozumią. Wprawdzie i dziś na odpusty dążą tłumy ludu, ale między nimi garstka tylko takich, którzy idą tam dla modlitwy, reszta to zbieranina różnego rodzaju. Jedni to ciekawscy, którzy idą po to, aby zobaczyć, jak tam będzie i co tam będzie; drudzy — aby pokazać swe stroje; inni — aby się zobaczyć z znajomymi i o różnych sprawach pogwarzyć.

Oprócz tych na odpust ciągną także całe szeregi żebraków, gdyż odpust to dla nich prawdziwe żniwa. Wszelka nędza ludzka ma tam swych reprezentantów; ale wśród tych nędzarzy często gęsto można spotkać oszustów z udanem kalectwem, którzy zabierają grosz rzeczywiście potrzebującym wsparcia żebrakom, a temsamem okradają ich niegodziwie.

Na naszym obrazku widzimy szereg żebraków na odpuście w pewnem miasteczku, oczekujących wsparcia. Twarze ich zbiedzone, zmizerowane, oczy wpatrzone w dal, wyglądają, czy jaki litościwy człowiek nie przybliża się, aby go można wzruszyć żebrzącym głosem. I tak czekają dzień cały, proszą dzień cały, aby znów w najbliższym czasie udać się na inny odpust.

Wśród wiernych a pobożnych, wśród ciekawskich i strojnisiów, a nawet pomiędzy żebrakami uwijają się złodzieje i rzezimieszki, którzy, korzystając z ścisku na odpuście, niejednego porządnie »opucują«.

Dlatego też nigdy, gdzie jest ścisk większy, pieniędzy, prócz koniecznie potrzebnych, brać nie należy, gdyż mogą one się stać łupem jakiego chciwego rzezimieszka, czekającego tylko na nieoględność ludzką.

Jak Moryc Rubin na grzechu zarobił?

(Humoreska).

Moryc Rubin uchodził pomiędzy wszystkimi żydami w Pipidówce za mądrego i gorliwego żyda. Kiedy nadeszły wybory do bóżnicy, wszyscy zrobili go starszym radnym zboru. Ale Moryc nie był taki na prawdę. Będąc kupcem, jeździł dużo i między katolikami lubił udawać nie żyda. Szczególniej zaś zasmakował w trefnem. Na widok kiełbasy nigdy nie mógł wytrzymać, ślinka mu tak biegła, że musiał pokosztować. Ale robił to tak pokryjomu, że go żaden z jego współwyznawców na tem nie złapał.

Nadszedł sądny dzień. Każdy żyd obowiązany jest w tym dniu zachować ścisły post od wschodu słońca aż do zachodu. Nasz Moryc Rubin spał dłużej, aby przespać głód, ale dzień był ładny, postanowił więc iść na przechadzkę, aby jakoś przechodzić to mruczenie żołądka. Cóż, kiedy droga na nieszczęście na miasto prowadziła koło składu rzeźnika, który zawieszał w oknie świeżo zrobione kiełbasy. Widok tego specyału działał zawsze okropnie na Moryca, jakżeż dopiero podziałał dzisiaj, kiedy głód dokuczał. Patrzał bokiem, oblizywał się, chciał uciec od tego kuszącego widoku, ale nogi były jakby przygwożdżone do ziemi. Obejrzał się w jedną i drugą stronę, na ulicy nie było nikogo. Wpadł do składu, kupił funt kiełbasy schował pod surdut i postanowił spożyć sobie ją w lasku za miastem, gdzieś w cieniu krzaków.

Jak pomyślał tak zrobił. Przyszedł do lasku, znalazł miejsce skryte i z całą łapczywością zabrał się do spożywania zakazanego specyału. Ledwie jednak przełknął jeden i drugi kąsek, aż tu naraz staje przed nim Mendel Makower, kantor z tej samej bóżnicy. Ujrzawszy Moryca, zajadającego sobie w sądny dzień i do tego kiełbasę, rozłożył ręce i zawołał:

— Ty Moryc! Pfuj Tobie! Ty w sądny dzień jesz? Ty radny, starszy, z kiełbasą? Poczekaj, na Nowy Rok będą wybory, już ja tobie pościelę, że nie będziesz więcej starszym.

— Ależ mój drogi Mendelku! — odrzekł Moryc. — Któż z nas jest bez grzechu. Przyznaję, żem nie powinien jeść kiełbasy i do tego dzisiaj. Przyrzekam też, że już więcej nie będę robić takie świństwo. Tylko też nic nie mów. Z ochotą dałbym ci 10 lat życia za to, żebyś o tem zapomniał i nie mówił nic nikomu.

— Co? Dziesięć lat życia? — odrzekł Mendel. — Wie haist dziesięć lat? Co to jest? To nie ma nigdzie kursu? Co jabym robił z twojem dziesięć lat życia? Czy ja znajdę gdzie na to kupca? Czyś ty zgłupiał zupełnie od twojej kiełbasy? Powiedz, jakie inne pieniądze, co to ma kurs, to zapomnę i nikomu nie pisnę ani słówka o tem, co dopiero teraz na własne oczy widziałem.

— Inne pieniądze? — rzekł Moryc z westchnienieniem. — No, mój Mendel, dam ci 50 koron, tylko nie piśnij nikomu ani pół słowa.

— 50 koron, ny to co inne — odrzekł kantor. — Daj, a będę milczał, jak szczupak, nie chcę już nic o tem wiedzieć.

Moryc z westchnieniem sięgnął do kieszeni i dobył pugilares. Wydobył 50 koron i podał je Mendlowi. W chwili jednak, gdy mu dawał, błysnęła mu jakaś myśl, bo uśmiechnął się złośliwie.

— Otóż tu masz 50 koron — rzekł do Mendla — ale ja się i tak boję, czy ty mnie nie wydasz, mój Mendel. Tyś gotów te smutne historye opowiedzieć. Chcesz mnie zupełnie uspokoić, wiesz, to nagryź i ty kawałek tej trefności, to będę zupełnie spokojny, przekonany o twojem milczeniu.

Tak łatwo udało się zarobić 50 koron Mendlowi, nie radby zysku wypuścił, to też nie wiele myśląc, chwycił kiełbasę i ugryzł kawałek. Zaledwie jednak przełknął, Moryc wybuchnął piekielnym śmiechem.

— No teraz ty mój kochany Mendel dawaj 100 koron, jak nie chcesz, abym zaraz jutro w bóżnicy opowiedział, żeś jadł w sądny dzień kiełbasę. Poszłoby kantorstwo i dochody, wyrzucą cię mój Mendelku!

Mandlowi aż łzy w oczach stanęły, zaczął się prosić, błagać, ale Moryc był nieubłagany. Cóż było robić? Mendel oddał 50 koron Morycowi i dołożył jeszcze 50 koron swoich, Moryc go jeszcze wyśmiał, a on odszedł sobie jak zmyty.

W duszy przeklinał Moryca, przeklinał swoje wyjście do lasu, ale 50 koron się nie wróciły.

Przed ożenkiem.

(Opowieść Grzeli).

Wąs się pusco popod nosem corny jakby smoła, cas, myślę se, iść juz z dziewką po ślub do kościoła. Dobrze mówić: po ślub bracie... jakże znaleźć śwarną dziewkę, kieby janioł biały, możną gospodarną.

Maryś z sioła, gibka w sobie, jakby to sitowie, co się hań w stawie ugina, ale po jej głowie, jakby mrówki po mrowisku bajki, plotki chodzą, na uczciwość dobrych ludzi i niewinnych godzą.

Halka, dziewka też nie brzydka, lec się bardzo stroi; wciąż ją widzisz przed zwierciadłem u krynicnych zdroi.

Baśka z Woli, kieby łania, co ją bór wychował; chociażbym się z nią ożenił nie będę całował: bo się mydli a maluje różami po gębie, co się jej potem pomarscy, jak skóra na dębie. Niechby się już malowała ale choćby miodem, toby się ta człek złakomił prędzy za tym słodem.

Hanka, tyżby dla mnie była, lec nie wierzy w Boga, ani nie wie jesce która do kościoła droga; ale za to wydeptała, jak gościniec bity, ścieżkę do karcmy, gdzie piją gorzałkę kobity.

Stefka znowu nie wytrzyma, jak zagra muzyka, rzuca pracę w kąt, na taniec z chałupy umyka.

Weronika, jak to wiecie, to wielka kłótnica; kto wie, ile razy u niej w ręce żarnówica na dzień. Zresztą ja nie chował grzbietu na jej cięgi; niech se bije i znieważa stare niedołęgi.

Józka znowu, ta z nad rzeki, na mnie jednem okiem patrzy, ale za innymi drugiem zerka bokiem.

Jaguś z młyna za pobożna; jakbym od ołtarza wywiódł, toby nie puściła z ręki brewiarza.

No i sukaj, cego nima, sukaj wiatru w polu; zamiast róży u nas pełno chwastu i kąkolu. Co le psiejsze, wyjechało hen do Ameryki; tu zostały ot badyle, pokrzywione tyki, co na niwie niepotrzebnie stoją. Nikt nie bierze ani jednej do probosca na ślub, na pacierze. Może w inny wiosce lepi, napis to do Grzeli cytelnicko miła w »Roli«, — cekom do niedzieli.

Łukasik.

CZARNA ZARAZA.

XXIII. Śmierć Czarnej Zarazy.

Odjazd Sperwera. — Straszny obraz. — Baronowa. — Dziwna historya.

Sperwer odjechał, uwożąc Liverlego w płaszczu. Nie towarzyszyłem mu; obowiązkiem moim było zostać przy starej, której udzielić pomocy nakazywało mi sumienie.

Zresztą, wyznać mi trzeba, byłem ciekawy zobaczyć z blizka tę dziwaczną istotę; ledwo też dojeżdżacz zniknął w ciemnościach, wszedłem w kotlinę. Czekało mnie tam dziwne widowisko.

Na futrzanym płaszczu, pokrytym ciemno-zielonym aksamitem, leżała stara w długiej purpurowej sukni, z rękami zaciśniętemi na piersiach, ze złotą strzałą w siwych włosach.

Choćbym żył sto lat, nie zapomnę tego obrazu. Straszna była ta głowa o profilu sępa, drgająca ostatnimi objawami życia, te oczy osłupiałe i wpół otwarte usta.

Baron, klęcząc przy niej, usiłował ją ocucić, ale od pierwszego rzutu oka przekonałem się, że wszystko stracone, i z prawdziwem politowaniem schyliłem się, aby ująć rękę nieszczęśliwej kobiety.

— Nie dotykaj się pan! — zawołał młodzieniec z rozdrażnieniem — zabraniam ci tego.

— Jestem lekarzem, panie baronie.

Patrzył na mnie chwilę w milczeniu, poczem, powstając:

— Przebacz mi pan — wyszeptał — przebacz!

Pobladł i usta drżały mu nerwowo.

Po chwili zapytał:

— I cóż?

— Wszystko skończone. Umarła!

Wtedy, nie mówiąc nic, usiadł na kamieniu, oparłszy łokieć na kolanie, a czoło na ręce, i siedział tak nieruchomy, jak posąg.

Zająłem miejsce przy ogniu i, milcząc, także patrzyłem, jak czerwony płomień ślizgał się fantastycznymi zygzakami na martwej twarzy starej.

Upłynęła może godzina, gdy wreszcie baron podniósł głowę i rzekł:

— Panie! wszystko to jest dla mnie niepojęte. Oto moja matka, którą zdawało mi się, że znam od lat dwudziestu sześciu... tymczasem cały świat tajemnic i okropności roztwiera się przede mną. Jesteś pan lekarzem... czy widziałeś kiedy coś równie przerażającego?



— Nie dotykaj się pan! — zawołał młodzieniec z rozdrażnieniem.

— Panie baronie — odparłem — hrabia Nidecki dotknięty jest chorobą, przedstawiającą szczególne podobieństwo z chorobą matki pana. Jeżeli masz pan we mnie tyle zaufania, byś mi powierzył fakta, których byłeś świadkiem, ja nawzajem odkryję ci to, co wiem, bo zamiana ta mogłaby mi może wskazać sposób uratowania mego pacyenta.

— Chętnie — odparł baron.

I bez żadnych wstępów opowiedział mi, że baronowa Blouderic, należąca do jednej z najznakomitszych rodzin saksońskich, odbywała corocznie podróż do Włoch w towarzystwie starego sługi, który posiadał całe jej zaufanie; że ten człowiek, umierając, wezwał do siebie syna swej pani i, dręczony zapewne wyrzutami sumienia, wyznał mu, że podróże baronowej do Włoch bywały tylko pokrywką wycieczek do Czarnego Lasu, których cel był jemu niewiadomy, ale które musiały mieć w sobie coś strasznego, bo baronowa wracała z nich wycieńczona, w łachmanach, prawie umierająca i potrzebowała kilka tygodni wypoczynku, by odzyskać siły, wyczerpane w ciągu tych paru dni. Baron, chcąc bądź co bądź dowiedzieć się całej prawdy, sprawdził tego właśnie roku opowiadanie starego sługi, jadąc w ślad za matką aż do Badenu. Tam widział, jak się zagłębiała w wąwozy Czarnego Lasu i śledził ją prawie krok w krok. Ślady, które Sebalt spostrzegł, były jego.

Usłyszawszy to wyznanie z ust barona, nie uważałem za stosowne ukrywać przed nim dziwnego wpływu, jaki stara wywierała na barona, ani innych okoliczności tajemniczego dramatu.

Obaj byliśmy jakby oszołomieni: nić niewidzialna, łącząca te dwie istoty zupełnie sobie obce, tragiczna scena, jaką obie bezwiednie odgrywały, znajomość zamku i jego kryjówek, jaką okazywała stara, nigdy w nim przedtem nie będąc, ubiór, jaki musiała odkryć gdzieś w tajemnem schowaniu, które jej jasnowidzenie magnetyczne ukazało — wszystko to wprawiało nas w podziw, wszystko było niepojęte. Zgodziliśmy się wreszcie na jedno, że śmierć jest może jedną z najmniejszych tajemnic, jakie Bóg dla siebie zachował, choć się nam najważniejszą wydaje.

Tymczasem noc bladła. W oddali gdzieś sowa żegnała ciemności tym krzykiem dziwnym, który ma w sobie coś złowrogiego. Wkrótce w głębi wąwozu dało się słyszeć rżenie i przy pierwszym brzasku dnia ujrzeliśmy sanki, któremi masztalerz barona powoził. Złożyliśmy na nich starą.

Ja dosiadłem konia, który rad był, że sobie rozprostuje nogi, stojąc połowę nocy na wodzie, i towarzyszyłem sankom, aż do wyjścia z wąwozu. Tam pożegnaliśmy się poważnie; oni zwrócili się na lewo w stronę Hirschlandu, a ja skierowałem się ku wieżom zamku Nideck.

O dziewiątej byłem już w obecności panny Odili i zdawałem jej sprawę z zaszłych wydarzeń.

Udałem się następnie do hrabiego. Znalazłem go w bardzo zadowalającym stanie. Osłabiony był tylko, co zresztą było rzeczą naturalną po tak strasznych atakach, ale odzyskał przytomność i gorączka opuściła go zupełnie. Wszystko więc zmierzało ku rychłemu wyzdrowieniu. W kilka dni potem, widząc go w zupełnie dobrym stanie zdrowia, chciałem powrócić do Fryburga, ale prosił mnie tak usilnie, abym na stałe w zamku jego zamieszkał, i przedstawił mi tak korzystne pod każdym względem warunki, że odmówić było nie sposób. (Dokończenie nastąpi).

Odradzanie narodów.

Z podziwem trzeba patrzeć na dzisiejsze uświadomienie narodowe i na dumę narodową Czechów. Ze wzrostem uświadomienia i dumy wzrosła i siła twórcza Czechów. Wiadomo, że w Czechach już nie o niepodległość chodziło, lecz o samo istnienie narodu. W Pradze nikt prawie z inteligencyi nie mówił w miejscu publicznem po czesku (tak było jeszcze w połowie XIX wieku), a w domu tylko do służącej. — Z pośród zamożnego ludu wiejskiego wielu wznosiło się wyżej; bardzo wielu Czechów było na poważnych stanowiskach, nawet rządowcy, a ci przyczyniali się tylko do gnębienia czeszczyzny, ośmieszając ją i gardząc językiem ojczystym. Utarło się mniemanie, że mowa przodków nie może być językiem literackim, bo za prosta do tego. Nikt nie chciał uczyć się po czesku. Osoby biegłe w językach obcych, nie umiały pisać po czesku, ani poprawnie się wyrażać, ani wogóle prowadzić rozmowy, bo im brakło wyrazów i znało się tylko ten szczupły zasób, niezbędny do porozumienia się ze służbą, mleczarką i woźnicą.

Im bardziej garnięto się do oświaty, tem bardziej się niemczono. Czesi nie chcieli być Czechami, dumni z tego, że mogą być Niemcami. Stan rzeczy w całym narodzie był taki, jak u nas obecnie pomiędzy chłopami na Mazurach pruskich.

Zniknęła wiekowa niechęć wzajemna Niemców a Czechów, boć Niemcy uważali ich już za jeden ze swych szczepów, na równi z Bawarami, Szwabami, Sasami. Już nie odróżniano nawet, czy kto z Niemców pochodzi, czy z Czechów, bo pod względem narodowym wszyscy jednako byli patryotami niemieckimi.

A dziś!

Jesteśmy świadkami układów ugodowych pomiędzy Czechami a Niemcami, którzy mając, mniejszość, wrzaskami i hałasami uniemożliwiają przez cztery lata już pracę sejmu czeskiego.

Te układy natrafiły w izbie na poważną przeszkodę. Niemcy zażądali, by magistrat miasta Pragi prowadził urzędowanie w dwu językach: czeskim i niemieckim. Cała prasa czeska odrzuciła z oburzeniem to żądanie, jako zamach na czeski charakter »złotej Pragi«.

Sprawa bowiem jest bardzo drażliwa.

Duma obu narodów, kraj zamieszkujących, angażowaną jest tak silnie w sprawie Pragi, że ugodowe załatwienie sporu musi być wyjątkowo trudnem. Niemcy mają na poparcie swego żądania niemiecką przeszłość miasta. Czesi zaś teraźniejszość czeską. Niemcy twierdzą, że na pomnikach i zabytkach Pragi wypisała się stara kultura niemiecka, Czesi wskazują na czeskie banki i pałace, na czeski język, dzisiaj brzmiący wszechwładnie w stuwieżowej Pradze i na imponującą przewagę w niej liczbową narodu czeskiego. Praga jest miastem czeskiem — woła prasa czeska namiętnie. Ale posiada »znaczną mniejszość niemiecką i nosi piętno kultury niemieckiej na sobie« — odpowiadaja Niemcy.

Co mówi historya?

Za Przemyślidów i Luksemburgów Praga była czeską z silnym połyskiem niemieckim. Kultura szła głównie do Pragi z Niemiec, obok Włoch. Wiek piętnasty i szesnasty są szczytem narodowo czeskiej świadomości Pragi. Wytwarza się oryginalna kultura czeska. Po bitwie na Białej Górze Praga germanizuje się, w wieku ośmnastym jest niemiecką, jest miastem rzeszy niemieckiej — podobnem do Norymbergii lub Wiednia.

Od połowy wieku dziewiętnastego rozpoczyna się szybka czechizacya miasta. Jeszcze w roku 1855 Praga ma większość mieszkańców niemiecką, bo na 73 tysiące Niemców przypada tylko 55 tysięcy Czechów. Ale już w roku 1880 liczba Niemców spadła do 31 tysięcy. W dziesięć lat później Praga liczy tylko 17.928, w r. 1910 zaś 17.602 Niemców, a 300 tysięcy Czechów. Miasto bowiem bez przedmieść liczy dzisiaj 324 tysięcy mieszkańców. To mówią liczby.

Ale nie można się dziwić. że Niemcy prascy bronią dwujęzyczności Pragi. Żal im i wstyd przyznać, że to miasto, w którem oni przez wieki całe rządzili, jest dzisiaj wyłącznie w ręku ich wrogów, a dumna, kulturalnie wysoko stojąca ludność, jest w niem dzisiaj nic nie znaczącą. Bronią więc resztkami sił sztandaru niemieckiego.

Ale bezskutecznie. Teraźniejszość zwycięża historyę. Praga pozostanie czeską dzięki narodowemu uświadomieniu Czachów.



Jak liść jesienny.

Wiatr za oknami cicho szeleści,
Jakby z oddali wyglądał wieści,
I uśmiech szczęścia na licach zmienia,
A w sercu budzi jakieś wspomnienia...

Więc za wichrowym, cichym szelestem
I ja smutniejszy, niż dawniej, jestem
I myśl się z liści szelestem zmienia,
Bo w niej powstają dawne wspomnienia...

Stają w mej myśli dziecinne lata:
Szczęście, wesele i rozkosz świata;
Stają w niej owe młodzieńcze chwile,
Po których wspomnień tyle, ach! tyle!...

Gdzieżeś, ach gdzieżeś wieku promienny?
I jam dziś, jako liść ten jesienny,
Który przytułku nie ma na chwilę,
Chyba wśród zmarłych, gdzieś na mogile!

Antoni St. Bassara.



Powiadali jegomość w niedzielę na kazanicy: Kochaj bliźniego twego, jak siebie samego! bo tak kazał sam Pan Jezus.

— Mnie ta nie trza jegomościowego kazania — pedzieli na to krzesnomatka Sikorzyna, ino wyśli z kościoła — bo ja wszyćkich jesce lepi od siebie kocham! Ale Walentemu tego, ze mnie nazwał wkiejsi carownicą, to do śmiertelny pościeli nie daruję!

— Ja ta przeciw nikomu nic ni mam — pedzieli Onufer Podlasek — ale Kasprowi uoranej miedzy póki świat światem nigdy nie daruję!

— Wszyscy mi dobrzy — pedziała Magda Powrózkowna — ale jak ja mam lubieć taką Kaśkę Podlaskównę, ftóra się bardzi stroi odemnie gospodarzki córki?

I tak jegomość swoje, a ludzie swoje. Kuzden niby to przykazania boskie wykonuje, ale kuzden na swój sposób i kuzdemu się zdaje, ze on najbardziej po katolicku zyje. I kto wie, cyby nie było dobrze pomiędzy ludźmi, gdyby nie było tego: ale... Ale bez to ale mają ludzie różne ale, i bez to jest źle na świecie!

Opowiadali mi raz jeden jegomość, ze w ich parafii zyła poćciwości baba, taka ze jej pobozności sam jegomość zazdrościli.

— Chciałbym — padali — Panu Jezusowi służyć tak, jak Małgorzata! Do kościółka codziennie chodzi, modli się, kieby anioł jaki, środy i soboty pości na intencyę Pana Jezusa, wtorki do Anioła Stróża, a cwartki do wszyćkich świętych. W jedną niedziele nabiału uzywa i to niesiułka.

— Aliści — opowiadali jegomość dali — przychodzi jednego razu Małgorzata na plebanię i, pochwaliwsy Pana Jezusa osiem razy, prawi:

— Przyniesłam tez jegomościckowi na msyckę świętą...

— A na jaką intencyę — pytam.

— Niechta jegomość odprawią do Pana Jezusa, zeby te Mecherzyną juz raz połomało, bo ja bez nią nijakiego spokoju ni mam! Ani ja przejść kole niej ni mogę, bo ciągiem na mnie patrzy, jakbym jej nieboscyka łujka zjadła!

Począłem Małgorzacie tłomacyć, ze na taką intencyę Mszy św. odprawiać ni mogę; mówiłem jej o miłości bliźniego i tak dali i tak dali, ale baba się uparła i ciągiem swoje. Widząc jednak, ze nic nie wskóra, rzekła:

— Kiedy jegomość taki uparty, to zaniesę do insego jegomości — i z temi słowami odesła z plebanii.

I gadaj tu z ludziami o miłości bliźniego, to jakbyś groch rzucał o ścianę!

Z TYGODNIA.

Obciążenie wojskowe Austryi. Wskutek zarządzeń ministerstwa wojny w sprawie podniesienia stanu prezencyjnego armii, bez porównania więcej obciążoną została Austrya, niż Węgry. Podniesienie stanu oddziałów odnosi się głównie do Galicyi, wynosi ono 13.500 żołnierzy, względnie rekrutów. Ponieważ jednak z obecnego stanu nie można było zapotrzebowania pokryć, więc powołano rezerwistów zapasowych najmłodszych roczników. Że obciążenie to jest większe w Austryi, wynika już z tego, iż wydatki na utrzymanie rodzin rezerwistów wynosiły w Austryi przeszło 20 milionów kor., podczas gdy na Węgrzech nawet nie dosięgły jednej czwartej tej sumy.

W sprawie ugody w Czechach. Dnia 12 bm. odbyło się w Pradze posiedzenie czeskich posłów do Rady państwa, w którem wzięło udział 70 posłów do parlamentu i szereg byłych posłów do sejmu. Po dłuższej dyskusyi zaproponowano ze strony radykalnej rezolucyę ostrą, na którą Młodoczesi nie chcieli się zgodzić, proponując poprawki w duchu przychylnym dla dalszych rokowań ugodowych. Ponieważ Młodoczesi pozostali w mniejszości, a pewnem było przyjęcie rezolucyi im nie odpowiadającej, przyszło do burzliwych scen między Młodoczechami a członkami innych stronnictw. W końcu Młodoczesi opuścili salę obrad, a pozostali posłowie przyjęli pierwotną rezolucyę. Wynik głosowania oznacza zupełne zwycięstwo radykałów, a klęskę żywiołów dotychczas skłonnych do ugody. W obradach nie wzięli udziału klub katolickich czeskich posłów, oraz socyalni demokraci. Widać z powyższego stanu rzeczy, że daleko jeszcze do ugody Czechów z Niemcami, gdyż w łonie stronnictw czeskich panują bardzo ostre przeciwieństwa.

Zaciekłość Wszechniemców. Wszechniemcy na zjeździe delegatów swoich we Wrocławiu ostro krytykowali politykę rządu pruskiego wobec Polaków. Różni mówcy skarżyli się, że za mało Polaków wywłaszczono i że nie przedłożono jeszcze zapowiedzianej ustawy parcelacyjnej. W końcu przyjęto rezolucyę, wzywającą rząd, aby powrócił do polityki Bismarcka i Bülowa i zastosował w całej rozciągłości ustawę wywłaszczeniową.

Ugoda Serbii z Watykanem. Wydelegowana przed rokiem przez serbskie ministerstwo oświaty komisya dla zawarcia konkordatu, t. j. ugody ze Stolicą św., ukończyła prace przedwstępne i uda się wkrótce do Rzymu, aby wdrożyć rokowania z Watykanem. Według wypracowanego przez komisyę projektu, Belgrad będzie siedzibą arcybiskupstwa. Duchowieństwo katolickie w Serbii będzie podlegało arcybiskupowi belgradzkiemu. Obsadzenie arcybiskupstwa belgradzkiego ma nastąpić z końcem bieżącego roku.

Albańczycy o poprawę granic. Kilku wysłańców tymczasowego rządu albańskiego udało się do Wiednia, aby osobiście przedstawić rządowi austryackiemu potrzeby Albanii i prosić o ich poparcie. Przedewszystkiem Albańczycy domagają się, aby wielkie mocarstwa zmieniły niesprawiedliwą uchwałę pełnomocników swych w Londynie, na mocy której duże kawały Albanii dostać się mają pod panowanie Czarnogóry, Serbii i Grecyi. Następnie Albańczycy skarżą się na rząd serbski, który pomimo kilkakrotnych obietnic nie odwołuje swego wojska nawet z tych okolic, które na mocy uchwały mocarstw mają należeć do Albanii. Minister spraw zagranicznych Austryi i Węgier, hrabia Berchtold, oświadczył wysłańcom albańskim, że oba ich żądania uznaje za słu

szne i sprawiedliwe. Ale co do pierwszego, to nie ma prawie nadziei, aby wszystkie mocarstwa zgodziły się na zmianę uchwały londyńskiej w sprawie granic Albanii. Co do drugiego żądania, to Austrya upomni ostro rząd serbski, aby wycofał swoje wojsko z głębi Albanii. Z Wiednia udaje się deputacya albańska do Rzymu.

Kredyt Bułgaryi. Bułgarya wydała na wojnę z Turcyą, a potem na wojnę z Serbią i Grecyą prawie wszystkie zasoby pieniężne. Teraz niema za co odbudowywać zniszczonych miast i wsi w tych okolicach, które splądrowane zostały przez wojska nieprzyjacielskie. Rząd bułgarski zwracał się o pożyczkę do bankierów francuskich i angielskich, ale otrzymał odpowiedź, że tylko wtedy mogą dać pieniądze, gdy na półwyspie bałkańskim zapanuje trwały spokój. Bankierzy z innych krajów też nie chcieli udzielić teraz Bułgaryi pozyczki. Dopiero austryackie i węgierskie banki zgodziły się pożyczyć rządowi bułgarskiemu na najpilniejsze potrzeby 25 milionów koron. Starania rządu bułgarskiego poparł rząd austryacki, który chce przez to pozyskać wdzięczność Bułgarów za dopomożenie im w trudnem położeniu.

Rokowania bułgarsko-tureckie. Jak donoszą z Wiednia, w tamtejszych kołach dyplomatycznych słychać, iż rokowania między Turcyą a Bułgaryą przybierają obrót korzystny, tak, iż istnieje nadzieja, że doprowadzą do pożądanego celu w ciągu tygodnia. Obrót korzystny rozumieć należy w ten sposób, że Bułgarya opuszczona przez mocarstwa, musi się zgodzić na warunki tureckie, według których straci tak krwawo zdobyte na Turcyi miasto Adryanopol i kraj Tracyę.

Kto pobił Turków? Król grecki za swej gościny w Niemczech, podczas toastu, wygłoszonego w Poczdamie, zaznaczył, że Grecy zawdzięczają zwycięstwa swoje po pierwsze niepokonanemu męstwu żołnierzy, a następnie zasadom sztuki wojennej, nabytym w Berlinie. Turcy również uczyli się sztuki tej w Berlinie, ale widocznie mieli tępe głowy, bo mimo nauki niemieckiej dostali w skórę! Prawdopodobnie Grecy mieli innego nauczyciela, lepszego niż Turcy.

Zatarg Chin z Japonią. Pomiędzy Chinami a Japonią wynikł zatarg z następującego powodu: Rząd chiński posądza Japonię, że to ona wznieciła przez swoich podżegaczy wojnę domową w Chinach, aby coś na tem zarobić. Gazety chińskie ostro też ostatnimi czasy napadały na rząd japoński, a w niektórych miastach chińskich ludność poturbowała nawet przebywających tam Japończyków. W mieście Nankinie nawet paru Japończyków zostało zabitych. Japonia ostro zażądała od Chin zabójców i usunięcia z urzędów naczelników policyi w Szanhaju i Nankinie. Zażądała też sowitego wynagrodzenia dla rodzin pomordowanych. Ponieważ rząd chiński ociągał się ze spełnieniem tych żądań, więc rząd japoński posłał ku brzegom Chin kilka okrętów wojennych. Podobno jednak już rząd chiński ustąpił. Japonia grozi, że w razie dalszych zamieszek w Chinach wysadzi z okrętów na ziemię chińską swoje wojsko.

Statki wojenne Stanów Zjednoczonych. Stany Zjednoczone budują taniej okręty wojenne niż Anglia i Niemcy. Ci ostatni są szczególniej zaniepokojeni, gdyż okazuje się, że budowa niemieckich okrętów wojennych jest najdroższa. Skwapliwość Europy w zbrojeniu się wyzyskują tedy Stany Zjednoczone na swoją korzyść, bo same niewiele takich okrętów budują, a zaopatrują natomiast Europę i wyciągają jej w ten sposób piękne pieniądze. Mądrzy Amerykanie.

KRONIKA.

Koniec kwartału! Niniejszy numer jest **przedostatnim** w trzecim kwartale. Prosimy więc tych wszystkich, którym kończy się prenumerata z końcem września, aby corychlej ją odnowili, by mogli dalej bez przerwy „Rolę“ otrzymywać.

Nasze powieści. W następnym numerze ukończymy druk obydwóch powieści, poczem rozpoczniemy **nowe**, a mianowicie p. t. ***Nad jeziorem Gopłem*** i ***Czarodziej Twardowski.*** Pierwsza powieść przeniesie nas **w owe legendarne czasy**, gdy to, jak mówi podanie, myszy Popiela zjadły, a na tronie książęcym zasiadł chłop Piast; zaś w drugiej zapoznamy się z **czarnoksiężnikiem Twardowskim, z jego wędrówką do piekła i z jego ciekawemi czynnościami.** Powieść p. t. „Czarodziej Twardowski“ będą zdobić obrazki, umyślnie dla „Roli“ wykonane.

Nowy proboszcz kościoła N. P. Maryi. W poniedziałek d. 8 września odprawił sumę w kościele Maryackim w Krakowie nowy proboszcz, arcybiskup Franciszek Albin Simon. Przed kilkunastu laty był on pomocnym biskupem mohylewskim, potem mianowany został przez Papieża biskupem w Płocku, ale nie mógł objąć rządów dyecezyi i nawet przez jakiś czas przebywał na wygnaniu. Potem wyjechał za granicę i mieszkał głównie w Rzymie. Ojciec św. Leon XIII zamianował go arcybiskupem. W Rzymie oddawał niemałe usługi naszemu narodowi, ale tęsknił za krajem i pragnął wśród rodaków pracować. Teraz spełniły się jego marzenia. Po śmierci proboszcza parafii Maryackiej w Krakowie, biskup krakowski książę Sapieha zaprosił go za zgodą rządu na probostwo Maryackie. Arcybiskup Simon chętnie probostwo to przyjął, aby tylko wrócić do kraju i pełnić obowiązki duszpasterskie. Parafia Maryacka ma więc niezwykłego proboszcza, bo arcybiskupa.

Śmierć od pioruna. W nocy z 5 na 6 września podczas gwałtownej burzy, jaka szalała nad Wadowicami i okolicą, uderzył piorun w dom p. Ludwika Mikołajczyka, wójta w Mucharzu. Na strychu spał 40-letni ceglarz z Tomic, Józef Moński, z najstarszym synem 14-letnim Władysławem. Uderzenie pioruna było fatalne: ceglarz zginął na miejscu, syn jego odniósł szereg ciężkich poparzeń na twarzy, zdołał się jednak uratować z ognia, który ogarnął dom. Budynek zgorzał do szczętu. Pożar przerzucił się następnie na stodołę, która również spłonęła. Pastwą płomieni padła również wyprawa córki wójta, sprawiona przed tygodniem za sumę około 2000 kor. Poparzonego chłopaka odwieziono do szpitala w Wadowicach.

(J. K.) **Dobry kapłan.** Z Choczni w powiecie wadowickim piszą nam: Dnia 26 lipca opuścił naszą parafię ks. katecheta Franciszek Miśkowiec, który przez 3-letnią pracę zostawił po sobie miłe wspomnienie. Nie ograniczył się na pracy w kościele, lecz i poza kościołem poświęcał się sprawie ludowej. Chcąc lud tutejszy pobudzić do większego patryotyzmu i wskazać obraz z historyi dawnej Ojczyzny, urządził dwie wycieczki do Krakowa, z których lud nasz odniósł rzetelny pożytek. Założył w tutejszej pararafii spółkę mleczarską, której brak dał się bardzo odczuwać, a obecnie przy dobrej gospodarce w przyszłości spółka może przynieść nieocenione korzyści. Z powodu przeniesienia z Choczni

do Muchacza, straciła parafia pracownika tak potrzebnego w chwili obecnej, a Kółko rolnicze w Kaczynie, którego był członkiem ks. Miśkowiec, odczuje brak jego troskliwej opieki. Zarząd Kółka zasyła mu na tej drodze podziękowanie za prenumerowanie »Roli«, która pouczającymi artykułami rozbudza oświatę wśród tutejszego ludu.

Pogrzeb powstańca. Dn. 7 września odbył się w Wadowicach, przy licznym udziale publiczności, pogrzeb uczestnika powstania z r. 1863 Karola Oszustowicza. Do ostatnich dni trzymał się krzepko i zdrowo, pełniąc obowiązki stróża szkolnego. Dnia 2 b. m. podczas otwierania okna w budynku szkolnym został sparaliżowany i po dwóch dniach zmarł.

Śmierć przy pracy. Dn. 10 września w południe przy robotach budowlanych w budynku OO. Jezuitów w Nowym Sączu, zawaliła się ściana, zabijając na miejscu 60 letniego murarza Tomasza Ruska. Zabity osierocił staruszkę żonę i kilkoro dzieci.

(J. Z.) **Piękne uroczystości.** Dn. 7 września w Brzostku, w pow. pilzneńskim, odbyły się ćwiczenia organizacyj strzeleckich. Po ćwiczeniach odbyło się nabożeństwo przy salwie z karabinów i poświęcenie sztandaru milicyi brzosteckiej. W poświęceniu sztandaru wzięły udział organizacye strzeleckie: z Brzostka, Jasła, Kołaczyc, Kamienicy, skauci z Dębicy, straż pożarna z Brzostka, Nawsia brzost., Januszkowic, milicya brzostecka i włościańska banderya. Po południu odbył się wielki festvn strzelecki pod protektoratem posła hr. Mikołaja Reya. Podczas festynu przygrywała orkiestra salonowa z Tarnowa. Czysty dochód z festynu przeznaczono na cele miejscowej organizacyi strzeleckiej.

Oberwanie chmury. Z Sądowej Wiszni donoszą: Dnia 12 b. m. wydarzyło się tutaj oberwanie chmury. Wskutek tego w Wiszence przybyło wody o 3·70 metrów. Około 8 domów zalanych po dach. Ofiary uratowane. Komunikacya z dworcem kolejowym, oddalonym o 4 kilometry, przerwana. Mosty podmulone, przejazd wstrzymany. Straty na razie nie ustalone, lecz już obecnie strasznie. Okoliczne pola, ogrody, sady, zabudowania gospodarcze, niżej położone, wszystko pod wodą.

Hołd powstańcom. Dnia 7 i 8 b. m. odbywały się we Lwowie uroczystości, w których składano hołd żyjącym uczestnikom powstania z r. 1863. Przez dwa dni stolica kraju przeżyła chwile, w jakich silniej biją serca i kiedy to ściślej zadzierzgają się węzły między przeszłością a przyszłością. Dwudniowe te uroczystości wypadły nadzwyczaj podniośle, do czego przyczynił się liczny zjazd powstańców i gości ze wszystkich trzech zaborów a nadto Węgrzy przybyli w liczbie 40 osób. Miasto przybrało wygląd wielkiego święta. Szyby okien ozdobione nalepkami, liczne balkony przybrano dywanami, a z domów i gmachów powiewały polskie sztandary i chorągwie o narodowych barwach. Uroczystość niedzielną rozpoczęła Msza święta w kościele OO. Bernardynów, na której zgromadzili się wszyscy powstańcy, a między nimi i garść tych, co w tem samem miejscu przed 50 laty idąc do boju za Ojczyznę, prosili Boga o błogosławieństwo na drogę w imię dobrej i świętej sprawy.

W poniedziałek o godz. 9 rano na placu powystawowym przed pałacem sztuki, w którym mieści się wystawa roku 1863, odbyło się obywatelskie zebranie. Przemówienia okolicznościowe wygłosili: poseł Dr Adam, dyr. W. Biechoński i art malarz Benedyktowicz. Z gości węgierskich w podniosłych słowach, składając hołd naszym powstańcom, przemówił biskup-sufragan z Preszburga X. Kamilossy. Przemówieniu temu towarzyszyły liczne okrzyki »Eljem« i oklaski, poczem kapela narodowa zagrała węgierski hymn narodowy. Następnie odbył się ulicami miasta wspaniały pochód na cmentarz Łyczakowski, w którym wzięły udział liczne zastępy konnych i pieszych sokołów, drużyn strzeleckich i bartoszowych, Związek strzelecki, skauci, młodzież gimnazyalna, zakłady naukowe żeńskie, korporacye i cechy ze swymi sztandarami, rada miejska, strzelnica, powstańcy oraz goście węgierscy. W pochodzie niesiono mnóstwo wieńców, a ogólną uwagę zwracała imponująca liczba strojów narodowych i kontuszów. Zebrane tłumy publiczności po ulicach obsypywały kwiatami powstańców i Węgrów, którzy wystąpili w swych barwnych węgierskich strojach. Na cmentarzu wieńce złożono u stóp pamiątkowego krzyża, wzniesionego tuż po powstaniu. Nastąpił szereg przemówień, poczem powstańcy odbyli pielgrzymkę po grobach swych kolegów. Popołudniu na Placu powystawowym odbył się festyn, w czasie którego goście węgierscy zwiedzali wystawę r. 1863 w Pałacu sztuki.

Ilość powstańców, którzy wzięli udział w zjeździe, dochodzi do 160. Wśród nich znajdował się pułkownik z powstania Jankowski, artysta-malarz Ludomir Benedyktowicz (który w powstaniu stracił obie ręce, utwory jego pędzla zajęły całą salę na Wystawie r. 1863, artysta ten maluje bowiem zapomocą umyślnego mechanizmu do prawego ramienia przyczepionego), i inni sędziwi obrońcy ojczyzny z r. 1863.

Śmierć na grobie dziecka. W zeszłym tygodniu znaleziono na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, na jednym ze świeżych grobów, wijącą się w boleściach młodą kobietę. Zawezwano do niej Pogotowie ratunkowe, które stwierdziło otrucie za pomocą kwasu azotowego i w groźnym stanie odstawiła samobójczynię do szpitala, gdzie nad wieczorem zmarła. Była to zarobnica Marya Zagrajczuk. W pozostawionym liście podała, że odbiera sobie życie na grobie swego 18-miesięcznego dziecka, z rozpaczy po niem i prosiła, by jej nie ratowano.

Cholera w Galicyi. W Oporcu, w powiecie skolskim w Galicyi wschodniej, zachorowała świeżo wśród objawów cholerycznych jedna osoba; ogółem więc we wsi tej zaszły dotychczas trzy wypadki cholery. W Sławsku, tego samego powiatu, zaszedł jeden podejrzany wypadek cholery. Podobno zaszły nowe wypadki w Tuchli we wsi Smorzu i w dwu innych wsiach obok Skolego. W sądzie powiatowym w Stryju nie mogła się odbyć 10 b. m. rozprawa, gdyż strony pochodzące ze wsi objętej cholerą, zostały, w obawie zawleczenia choroby, przytrzymane przez żandarmeryę. Korespondent zaznacza, że w miastach prowincyonalnych przeważnie nic jeszcze nie zrobiono celem poprawy stosunków sanitarnych i pouczenia mieszkańców jak postępować należy w wypadku pojawienia się choroby.

Stuletnia służąca. Niedawno temu osobliwy jubileusz święciła w Wiedniu niejaka Anna Stiassny, która od siedemdziesięciu lat przeszło jest służącą u pewnej rdziny wiedeńskiej. Wnet potem najstarsza ta służąca obchodziła setną rocznicę swych urodzin. Cesarz nadał Annie Stiassny medal za długoletnią wierną służbę.

Wielki pożar na stacyi kolejowej. Donoszą z Insbrucka w Tyrolu, że dn. 12 b. m. o godz. 2 po południu wybuchł w magazynach cłowych i towarowych stacyi kolei południowej Ala ogień, który przy panującym wietrze szybko się rozszerzył. Magazyny wraz z całym zapasem towarów tam nagromadzonych, kancelarye, oraz wszystkie dokumenty padły ofiarą ognia; toż samo pięć stojących przed

magazynami wagonów towarowych. Szkoda bardzo wielka. Brak wody utrudniał akcyę ratunkową, w której brał udział prócz straży ogniowej także personal kolejowy i garnizon, których pracy udało się uratować sąsiednie magazyny i budynek stacyjny.

Pies wybawcą. Trzej 11-letni chłopcy: Jan Gubat, Jan Tapolcsanyi i Józef Bernat, wraz z 10-letnim Franciszkiem Iskovitzem, poszli kąpać się do Dunaju pod Budapesztem. Topolcsanyi był jeszcze na brzegu, gdy trzej jego towarzysze rzucili się do wody i porwani prądem, zaczęli tonąć.



Właśnie przechodził tędy syn profesora gimnazyalnego, Karol Michelicsz, z wielkim psem. Mądry pies, zobaczywszy tonących, skoczył do rzeki i wyniósł na brzeg Jana Gubata żywego jeszcze, poczem znowu rzucił się na ratunek dwu innym. Ratunek ten był już jednak spóźniony. Obaj utonęli. Obrazek nasz przedstawia scenę, gdy pies ratuje chłopca.

Długowieczność polityków. W tych dniach poseł węgierski Józef Madarasz rozpoczął setny rok życia. Ów Madarasz był już poraz pierwszy posłem na sejm węgierski w Pressburgu w 1834 roku, a od 1848 r. piastuje mandat, z przerwą lat 1850—1861, kiedy skutkiem zaprowadzenia absolutyzmu sejmu na Węgrzech nie było. Józef Madarasz zasiadał tedy w sejmie rewolucyjnym węgierskim, brał także udział w tym sejmie, który zebrawszy się w kwietniu 1849 r. w kościele kalwińskim w Debreczynie, złożył dynastyę Habsburgów z tronu, potem należał do sejmu 1861 roku, który podjął zaraz walkę o usunięcie urzędników germanizacyjnych z Węgier, należał też do sejmu koronacyjnego w 1867 roku, słowem, jest żywą kroniką wszystkich wypadków politycznych węgierskich od 1834 roku, kiedy to sejm węgierski w Pressburgu pod wpływem rewolucyi polskiej w r. 1830 i 1831 rozpoczął pierwszą walkę o unarodowienie administracyi madziarskiej, do tej pory urzędującej w języku łacińskim. Józef Madarasz jest tak gorącym patryotą węgierskim, że nawet Ludwik Kossut, słynny dyktator węgierski, był w jego oczach politykiem umiarkowanym. Józef Madarasz piastuje mandat, jakkolwiek zjawia się w parlamencie bardzo rzadko, przeważnie tylko na pierwszem posiedzeniu nowo wybranego sejmu. Rodzina w ostatnich czasach nie uważała za stosowne poinformować go o gwałtach gabinetu hrabiego Tiszy, ponieważ obawiała się, że oddziała to źle na jego zdrowie. Natomiast przeczytano mu i poinformowano go bardzo dokładnie o procesie posła Desy z ministrem Lukacsem i o upadku Lukacsa. Te wiadomości dodały staremu Madaraszowi werwy i siły. Oświadczył on z wielkiem zadowoleniem, że czuje się niemal młodym na wiadomość, że sądy węgierskie umiały napiętnować Lukacsa.

Wogóle polityka musi być zajęciem bardzo zdrowem, ponieważ wszyscy wybitniejsi politycy węgierscy dożyli albo dożywają teraz już sędziwego wieku. Jeden z najwybitniejszych parlamentarzystów węgierskich, Wojciech hrabia Apponyi, liczy już niemal lat 70. Franciszek Kossut, syn dyktatora, ma przeszło lat 70. Długoletni minister honwedów i były prezes ministrów, baron Fejervary, ma lat 80. Głośny generał Görgey ma lat dziewięćdziesiąt kilka. Długoletni poseł parlamentarny i ojciec dzisiejszego ministra handlu, baron Harkanyi jest krzepkim starcem, liczącym przeszło lat 80. Baron Bohns, który zagaja zazwyczaj delegacye węgierskie, jako prezes z tytułu starszeństwa, liczy lat 90. Ale tych wszystkich polityków bije stuletni Madarasz, który czyta książki i pisze swoje pamiętniki.

Musimy także zauważyć, że również w parlamencie angielskim istnieje ogromna ilość ludzi starych, a rzeźkich. Wogóle w Anglii ministrem zostaje rzadko kto przed 50 rokiem życia, a słynny Gladstone był dwa razy jeszcze prezesem ministrów, gdy skończył siedemdziesiątkę. Widocznie tedy polityka należy do najzdrowszych zajęć. Łatwo to wytłómaczyć sobie faktem, że polityka przynosi codziennie rzeczy nowe i w ten sposób działa ożywczo na organizm ludzki, dla którego największą trucizną jest wszelkiego rodzaju przyzwyczajenie.

Ingres arcybiskupa warszawskiego. W niedzielę dnia 14 b. m. odbył się uroczysty ingres nowego arcybiskupa warszawskiego ks. Aleksandra Kakowskiego. O godz. 9 rano ks. arcybiskup w szatach pontyfikalnych, przy odgłosie dzwonów we wszystkich kościołach i przy śpiewie pieśni »Kto się w opiekę«, udał się w uroczystym pochodzie do katedry św. Jana, poprzedzony przez duchowieństwo. Po śpiewie hymnu »Te Deum« wszedł ks. arcybiskup do presbiteryum i ukląkł przed wielkim ołtarzem, a prałat-archidyakon odśpiewał modlitwy z pontyfikatu. Ks. arcybiskup zasiadł na tronie; jeden z członków kapituły metropolitalnej odczytał z ambony po łacinie i po polsku bullę Ojca świętego Piusa X. — Ks. biskup Dr Ruszkiewicz, dotychczasowy administrator archidyecezyi, przywitał przemową nowego arcypasterza; poczem duchowieństwo w porządku hierarchicznym podchodziło do tronu i składało przysięgę posłuszeństwa t. zw. *homagium.* Po *homagium* przemówił arcypasterz do duchowieństwa. Chór odśpiewał antyfonę o patronie Kościoła i odpowiednią modlitwę; ks. arcybiskup, który następnie rozpoczął celebrę pontyfikalną, po *Credo* udał się na kazalnicę i przemówił do wiernych. Po sumie ks. arcybiskup udzielił obecnym błogosławieństwa i odpustu zupełnego na mocy reskryptu od Ojca św. Po ceremoniach duchowieństwo odprowadziło ks. arcybiskupa do głównych drzwi katedry św. Jana, skąd arcypasterz udał się do swego pałacu.

Kradzież konia i córki. Zamieszkała w Mokotowie pod Warszawą Maryanna Kornacka, przekupka, przywiozła do Warszawy mleko, oraz różne produkty wiejskie i zatrzymała się przy zbiegu ul. Marszałkowskiej i Koszykowej, gdzie weszła do sklepu, pozostawiając furmankę pod opieką 10-letniej swej córki. Gdy po upływie kilku minut Kornacka wyszła na ulicę, nie było już ani furmanki, ani córki. Według opowiadań przechodniów, jakiś mężczyzna wsiadł na wóz, zaciął konia i odjechał wraz z córką Kornackiej. Poszkodowana wartość konia wraz z furmanką ocenia na 250 rubli. Córka, według niej była bezwartościowa!

Uderzenie pioruna w procesyę. Z Siewierza, w gubernii piotrkowskiej, w Królestwie Polskiem, donoszą o smutnym wypadku: Oto gdy kompania siewierska po wysłuchaniu uroczystej Mszy św. wyszła z kościoła, kierując się w drogę do Częstochowy, nagle zachmurzyło się i począł padać drą-

bny deszczyk. Pątnicy, nie zważając na to wyszli już poza miasto, gdy w tem zagrzmiało i piorun ugodził jednego z pątników, zabijając go na miejscu, przyczem niebezpiecznie ogłuszył i poparzył księdza, towarzyszącego pielgrzymce. Kompania przerażona wypadkiem, wróciła z drogi, odkładając pielgrzymkę do czasu zupełnego wyzdrowienia księdza.

Samobójstwa starców na Podolu. Jak donoszą pisma warszawskie, w ostatnich latach w życiu wiejskiem na Podolu, daje się zauważyć nowe zjawisko — liczne samobójstwa starców. Starcy wogóle, a starcy włościanie w szczególności zwykle odznaczają się wielkiem przywiązaniem do życia. I mimo to samobójstwa starców i staruszek notowane są tu niemal codziennie to w tej, to w tamtej wsi. We wsi Owczyńce w pow. Jampolskim powiesił się w tym tygodniu 85 letni włościanin, w Dzygówce zaś starzec 98-letni Deren otruł się i t. d. Głównym powodem samobójstw jest nędza w domu i obawa, że się jest ciężarem rodziny.

Objaw ciemnoty. Rząd rosyjski o oświatę nie dba, religia prawosławna nie umoralnia i nie uszlachetnia, lud rosyjski, jak wiadomo, popa wcale nie szanuje, to też nie dziw, że w takich warunkach szerzy się ciemnota. W pewnej wsi na Ukrainie stwierdzono, że pewna 20-letnia dziewczyna opętana jest przez dyabła. Za radą wioskowej wróżki rodzina postanowiła wyrzucić dyabła z dziewczyny i pozbyć się go na zawsze.



Dziewczynę przywiązano do krzesła i zaczęto ją bić rzemieniami i drągami. Operacya ta trwała godzinę, to też gdy zawezwano potem popa, by zobaczył, że dyabła już wypędzono, pop stwierdził, że nieszczęśliwa dziewczyna straciła życie. Chwilę tę przedstawia nasz obrazek.

Śmierć 12 osób w płomieniach. Jak donoszą z Petersburga, w nocy wybuchł pożar w mieście Rybakoje. Oprócz wielu domów spaliła się również poczta i telegraf. W czasie pożaru 12 osób znalazło śmierć w płomieniach. Szkody bardzo znaczne.

Śmiertelny marsz. Podczas manewrów dywizyjnych na Śląsku pruskim, pod Zobten, dostało porażenia słonecznego 120 żołnierzy 51 pułku piechoty. Oprócz tego zachorowało wskutek forsownych marszów 50 żołnierzy, z których 5 już zmarło.

Choroba śpiączki. 38-letni robotnik Jan Arndt z Piły, w Wielkopolsce, położył się w piątek d. 15 sierpnia spać. Gdy kilka dni z mieszkania swego wcale nie wychodził, wtargnęli sąsiedzi do izby we czwartek d. 21 b. m. i znalezli tam Arndta — śpiącego. Wszelkie próby, aby go obudzić, okazały się bezskuteczne. Umieszczono go w szpitalu. Arndta już po raz trzeci nawiedziła śpiączka na dłuższy czas.

Grzyb-olbrzym. Olbrzymi grzyb znaleziono w okolicy Rawicza, w Wielkopolsce. Rzadki ten okaz jest bowiem 30 cm, wysoki, a średnica kapturka wynosi 22 cm.; korzeń jest gruby jak ramię dziecka, a cały ten olbrzymi grzyb waży półtora funta, tak, iż wystarczyłby na pożywienie średnio licznej rodziny.

Nieszczęśliwy wypadek zdarzył się w Głównie, pod Poznaniem. Grono chłopców bawiło się obok młockarni. Jeden z chłopców z ciekawości włożył rękę pomiędzy koła, które zmiażdżyły mu trzy palce. Nieszczęśliwego chłopca można było uwolnić z strasznego położenia dopiero po odśrubowaniu kół.

Zaginiony patryarcha. Patryarcha serbski Lucyan Bogdanowicz, bawiący w Zdroju Gastein, wyszedł na wycieczkę i nie wrócił. Patryarcha przybył przed trzema tygodniami z Karlsbadu. Niedawno znaleziono patryarchę w miejscowości odległej o 10 klm. omdlałego. Mimo odradzań i złej pogody wybrał się patryarcha na wycieczkę bez przewodnika. Ekspedycya ratunkowa wysłana na poszukiwania, wróciła jednak nie odszukawszy zaginionego. Zdaje się, że dostojnik kościoła serbskiego padł ofiarą rozbójniczego rabunku.

Okrucieństwa wojny. Korespondent gazet rosyjskich z Bałkanu, p. Czernow opisuje niesłychane okrucieństwa bułgarskie popełnione w Adryanopolu. P. Czernow utrzymuje, że Bułgarzy wytracili prawie wszystkich jeńców tureckich wziętych do niewoli w Adryanopolu — a mianowicie około 52 tysięcy żołnierzy. Bułgarzy, wziąwszy tę żywą zdobycz w Adryanopolu, starali się o to, aby o ile można było zmniejszyć znaczenie pomocy serbskiej — i brali wszystkich jeńców do siebie. »Ich los od pierwszej chwili nie wydawał się wątpliwy — pisze Czernow. Każdy wiedział, że ci nieszczęśliwi nie będą ani żywieni, ani pielęgnowani i że zginą w opuszczeniu. Nie myślano jeszcze o masowych zabójstwach. Nie śmiano o tem myśleć. Jednakże oficerowie serbscy przeczuwali, do czego jest zdolne okrucieństwo bułgarskie i usiłowali ratować jaknajwiększą ilość tych skazańców. Uratowali wielu muzułmanów z Bośni, dając im serbskie mundury. Pozostałych zabrali Bułgarzy: część, 10.000 ludzi — do Mustafa-paszy, drugą część — na wyspę Tundżę, resztę wreszcie wysłano do Bułgaryi, ale czy oni tam doszli? Wszystkie pytania w tej sprawie pozostały bez odpowiedzi«. Czernow, zwiedzając fortyfikacye wziętego Adryonopola, natknął się na lewym brzegu Maricy, koło Kasan-Tepe, na stosy trupów. To byli tureccy żołnierze poprzebijani bagnetami i pozarzynani nożami. Leżeli w takich pozycyach, że nie mogło być mowy o tem, aby padli w walce. Trupy te były prawie zupełnie nagie. Żołnierze tureccy mieli to nieszczęście, że byli lepiej odziani od bułgarskich. Za parę butów ci ostatni zabijali człowieka. To były wspomnienia z pierwszej wojny... A z drugiej... Zanotujemy tylko dwa fakty: »Widziałem — pisze p. Czernow — w Krivolaku serbskiego żołnierza, rannego lekko w brzuch, w rękach Bułgarów. Ci nadziali go na gałąź i upiekli go żywcem przy wielkim ogniu, jab barana, dopóki się ciało nie zwęgliło...« Tego samego wieczoru p. Czernow znalazł trupa serbskiego ukrzyżowanego na drzewie. Przybito mu z tyłu ręce i nogi do pnia. Potem Bułgarzy przebili mu język i przewlekłszy przez otwór w języku sznurek, przywiązali do lekkiej gałęzi sąsiedniego drzewa. Ciężar ciała, obsuwając się, krajał je żywcem, a wiatr, ruszając gałęziami, poruszał mu bezustannie krwawiący straszliwie język... Okropne! Ale czy Serbowie są lepsi? Ileż oni w ostatniej wojnie na Bułgarach popełnili okrucieństw!

Elektryczni żołnierze. W dziedzinie wojny zaczynają się sprawdzać najśmielsze fantazye powie-

ściopisarzy. Mianowicie obecnie dochodzi wieść o odkryciu, które umożliwi wojnę bez — ludzi. Mianowicie z Kopenhagi donoszą do gazet angielskich, że pewien duński inżynier sfabrykował model zupełnie doskonałego mechanicznego żołnierza i może ich zrobić liczbę dowolną. Każdy taki żołnierz składa się ze stalowej rury, z której wysuwa się karabin w odpowiednich pozycyach i kierunku. Kierowanie strzelaniem takich żołnierzy odbywa się za pomocą elektryczności — bez drutu; przytem ci elektryczni żołnierze są w stanie dać 400 strzałów na minutę. Oczywiście, jedną z ich wybitniejszych zalet jest ta, że nie podlegają oni trwodze i nie uciekają. Duński inżynier trochę się spóźnił ze swym wynalazkiem. Powinien był oferować swoich elektrycznych żołnierzy władzom bałkańskim ku końcowi drugiej wojny, kiedy wszystkim zaczynało brakować już poprostu ludzi do dalszej walki. Mogłaby się w takim razie rozpocząć trzecia wojna bałkańska, potem czwarta, piąta i t. d. — z mniejszemi stratami w ludziach.

Niespodziewana zdobycz. Zabawny wypadek zdarzył się we Włoszech podczas ćwiczeń w okolicach Modeny. Patrole wywiadowcze doniosły, że »nieprzyjaciel« zajął stanowiska pod dworem, którego zamierza bronić za wszelką cenę, skoro wzniósł nawet szańce. Wydano więc rozkazy do ataku, rozwinięto łańcuchy tyralierskie i rozpoczęto ogień. Ogień ten jednak był bez odpowiedzi, wobec czego, zdziwieni tem oficerowie, przerwali ogień i poprowadzili cały oddział do szturmu.



Z okrzykiem »hurra« uderzono na nieprzyjacielskie okopy i zdobyto je bez walki. Przyjemne było to zwycięstwo, bo zamiast nieprzyjaciela, znaleziono w okopach obfity prowiant i napitek. Oficerowie powstrzymali żołnierzy od szturmu na te zapasy, zastanawiając się, co począć. W tem zjawił się jakiś mężczyzna na koniu, zbliżył się do żołnierzy i przedstawiwszy się oficerom, zaprosił wszystkich do uczty. Był to emerytowany generał, właściciel dworu, który niespodziewanych gości postanowił przyjąć po »wojskowemu«. Chwilę ataku przedstawia nasz obrazek.

Zjazd polski w Holandyi. Wobec trudności, jakie policya pruska czyniła wiecom polskim nawet w czasie wyborów, uchwalił »Główny komitet wyborczy na Westfalię, Nadrenię i sąsiednie prowincye« urządzenie ogólnego zjazdu polskiego w Holandyi w czasie uroczystości Wszystkich Świętych i w przypadający na niedzielę dzień zaduszny. Takiego zjazdu domagają się rodacy z różnych stron Westfalii i Nadrenii.

Upały w Anglii. W całej Anglii panują od dłuższego czasu ogromne upały. Z powodu posuchy cierpi bardzo rolnictwo.

Ofiary pioruna. Pewien uczony angielski ogłasza ciekawe spostrzeżenia o ofiarach pioruna. Rzecz znamienna, że w Anglii liczba ofiar jest znikomo mała; na całą Anglię przypada bowiem rocznie zaledwie 12·4 osób, rażonych piorunem. Pierwszeństwo pod tym względem dzierżą Węgry, gdzie na milion mieszkańców przypada 16 ofiar. Nieco mniejszą jest ta cyfra w Stanach Zjednoczonych i Karyntyi (10 na milion), Prusach (4·4 na milion), Francyi i Szwecyi (3 na milion), Belgii (2 na milion). Przez ofiary pioruna rozumieć należy osoby, które rzeczywiście zostały zabite. Liczba osób, rażonych piorunem jest znacznie większa. Stwierdzono natomiast, że jeżeli piorun trafia w gromadę osób, liczba osób zabitych jest mimo wszystko stosunkowo mała. I tak opowiada ów uczony o wypadku, gdy piorun uderzył w kościół, gdzie znajdowało się właśnie przeszło 300 osób. Z nich 200 nie poniosło żadnej szkody na zdrowiu, 100 wpadło w omdlenie, a 6 tylko zostało zabitych. W innym wypadku, gdy piorun trafił w gromadę złożoną z 92 ludzi, 10 osób zostało zabitych, 22 uległo porażeniu, a 55 odniosło lekkie obrażenia. Kiedyindziej piorun trafiając w trzodę, złożoną 1800 owiec 1200 zwierząt obalił na ziemię, zabijajac z nich 556 sztuk. Gdy piorun trafia w człowieka, pozwala sobie na najciekawsze nieraz kaprysy; rysuje mu na skórze niezwykłe figury a nawet obrazy, lub nie naruszając ciała na zewnątrz, wewnątrz ciała wywołuje niezwykłe spustoszenia. I tak piorun trafił pewnego pasterza w piętę, zewnętrznie prawie jej nie uszkodził, wewnątrz natomiast w drobne kawałki potrzaskał kości aż do kolana.

Sejm polski. W dniu 15 września w Detroit (stan Michigan, Ameryka Północna), rozpoczął się tak zwany Sejm polski. Jest nim zjazd delegatów Towarzystw, należących do Związku narodowego polskiego, jak wiadomo, największej organizacyi wzajemnej pomocy w Stanach Zjednoczonych. Związek ten liczy przeszło 100 tysięcy członków. Sejmy delegatów odbywają się co dwa lata, a między innemi omawiane są na nich również sprawy ogólno-polskie.

Polacy na obczyźnie. Papież Pius X. zamianował sufragana Koudelkę z Cleveland biskupem w dyecezyi Superior w Stanie Wisconsin w Ameryce Północnej. Biskup Koudelka — Czech władający językiem polskim — był do niedawna sufraganem arcybiskupa Messmera z Milwaukee.

Pożar podziemny w Nowym Jorku. Przy budowie wodociągu podziemnego w Nowym Jorku wybuchł z niewiadomej przyczyny pożar, którego ofiarą padło 50 ludzi. Resztę robotników, w liczbie 150, uratowano. Jednakże w cyfrze tej znajduje się 65 robotników poparzonych tak ciężko, że istnieje mała nadzieja utrzymania ich przy życiu. Pożar trwa jeszcze w głębokości 40 stóp pod ziemią.

Dynamit w piłce. Ofiarą niezwykłego zamachu morderczego padł w San Francisco znany milioner amerykański, Edward Brinkner. Już od dłuższego czasu otrzymywał bezimienne listy z pogróżkami, że o ile nie złoży znaczniejszego okupu pieniężnego, padnie ofiarą zamachu. Policya zorganizowała nad Brinknerem nieustanny dozór i opiekę, nadto nad całością jego i bezpieczeństwem czuwało trzech prywatnych agentów. Mimo wszystko jednak udało się bandytom zmylić czujność straży i wykonać zamach na Brinknera przy pomocy niezwykłego środka. Brinkner zwykł był zawsze między 6—8 godziną rano grać w piłkę. Zwykłym towarzyszem jego był sługa godny zaufania i szczerze oddany swemu panu. Otóż bandyci, dowiedziawszy się w niewyjaśniony sposób, że sługa zamówił we fabryce nowe piłki do gry, wykorzystali tę sposobność, przejęli przesyłkę, trzy z piłek wypełnili dynamitem, poczem wraz z innemi umyślnym posłańcem przesłali je do pałacu Brinknera. W czasie gry porannej,

gdy wśród innych piłek użyto także piłki napełnione dynamitem, nabój wybuchł tak jednak szczęśliwie, że Brinknerowi nic się nie stało, a jedynie przypatrująca się 6-letnia córeczka odniosła lekką i nieznaczną ranę.

10 policyantów w spódnicach. Wesołe sceny rozgrywały się w Nowym Jorku, kiedy na ulicach miasta ukazały się kobiety policyantki, aby pełnić swe obowiązki. W przewidywaniu »trudności« połączonych z ich ukazaniem się, dyrektor policyi dodał każdej z nich dla ochrony jednego doświadczonego agenta. Mimo to dwie policyantki, mniej odważne wobec zbiegowiska, uciekły do najbliższych urzędów policyjnych. Celem policyantek amerykańskich nie jest aresztowanie winnych, ale dozorowadziewcząt na ulicach i w lokalach tanecznych, jak również przestrzeganie przyzwoitości w miejscach kąpielowych. Dopiero na podstawie ich informacyi służba męska będzie dokonywała aresztowań winnych.

Gruźlica u psów. Na około 200.000 psów paryskich, prawie 18.000 choruje na gruźlicę. Choroba ta przenosi się także na koty, rzadko na konie. Powodem choroby bywa styczność z ludźmi gruźlicznymi.

Lutnia, zbiór pieśni patryotycznych, nakładem księgarni Cwynara w Tarnobrzegu. Znany działacz społeczny p. Zygmunt Kolasiński zebrał kilkadziesiąt najpiękniejszych pieśni narodowych i wydał je w niewielkiej książeczce. Zbiorek ten odróżnia się korzystnie od innych podobnych wydawnictw tem, że po każdej pieśni jest umieszczony krótki, ale dokładny życiorys tego, kto tę piosenkę napisał. Ładny druk, niska cena (40 h.) i piękne pieśni zachęcić powinny każdego do nabycia tej miłej książeczki.

Poradnika teatrów i chórów włościańskich numer 8. i 9. zawiera: Wiersz Konopnickiej, p. n.: »Wątpiącym«, oraz artykuły: Ireny Mrozowickiej: »Zjawy na scenie«, »Marysine czepiny«, »Piosnki ludowe przy weselnym obrzędzie czepin«, oraz Stanisława Wasylewskiego: »Molier na scenie włościańskiej«. — W dziale »Ocen i sprawozdań« pomieszczono recenzye pióra p.p. Dra Jerzego Kollera i Teofila Szczerby. — Z teki »Komisyi literackiej« Bibliografia, Korespondencye i Kronika zamykają zeszyt. Adres administracyi: Lwów, ul. Sykstuska l. 45.

Ruch pośpieszny pomiędzy Austryą a Południową Ameryką. Oddalenia ciągle się zmniejszają. Podczas gdy dawniej podróż z Austro-Węgier do Południowej Ameryki przez północne porty trwała 4 do 5 tygodni, można obecnie przebyć przestrzeń z Tryestu do Rio de Janeiro w dwóch tygodniach, do Buenos Aires w 18½ dniach. Ta szybka jazda parowcem pośpiesznym »Cesarz Franciszek Józef I«, należącym do Towarzystwa »Austro-Amerykana«, nastąpi w jesieni dwa razy, a mianowicie: 30 października i 18 grudnia z Tryestu przez Neapol i Barcelonę (Hiszpania) i Las Palmas (wyspy kanaryjskie). Parowiec Austro-Amerykany »Cesarz Franciszek Józef I» jest najszybszym okrętem na tej przestrzeni, urządzony jest z przepychem wielkich parowców oceanowych, jedzie nadzwyczaj spokojnie, a ze względu na przyjemną drogę, daje wszelką rękojmię na wygodną podróż. Również i dla podróży do Wysp kanaryjskich i do Hiszpanii, zalecić można powyższe dwie jazdy parowcem »Cesarz Franciszek Józef I«. Informacyi udzielu i prospekty wysyła Austro-Amerykana, Tryest, via Molin Piccolo 2, jej biura i ajencye, jakoteż znane biura podróży.

Podziękowanie „Wiśle“ Ludowemu Towarzystwu wzajemnych ubezpieczeń we Lwowie.

Miękisz Nowy d. 16 sierpnia 1913.

Dnia 6 sierpnia b. r. padły ofiarą płomieni budynki moje w Miękiszu Nowym, które na szczęście ubezpieczone miałem we »Wiśle«, Ludowem Towarzystwie wzajemnych ubezpieczeń. To też nie zawiodłem się zupełnie, tak rzetelnej, szybkiej i sumiennej likwidacyi nawet spodziewać się nie mogłem, wiedząc, jak inne Towarzystwa w tym wypadku postępują. W kilka dni bowiem po pożarze otrzymałem całą ubezpieczoną wartość bez żadnych potrąceń. — Wobec tego poczuwam się do obowiązku na tej drodze złożyć »Wiśle« szczere staropolskie »Bóg zapłać!« oby nigdy nie brakło jej siły do tak gorliwej i sumiennej pracy nad ludem, Do Was zaś, Bracia Włościanie, zwracam się, byście się wszyscy, o ile nie chcecie zostać nędzarzami lub pokrzywdzonymi w razie nieszczęścia, ubezpieczali swoje mienie jedynie we »Wiśle«, gdyż tylko tam znajdziemy pewną podporę swego bytu. *Stanisław Polit* m. p.

Również i my, członkowie Komisyi likwidacyjnej, składamy na tem miejscu najszczersze podziękowanie panu likwidatorowi »Wisły« za tak ludzkie i prawdziwie braterskie obejście się z nami.

Aleksander Wojtaszowicz m. p. *L. Szczurko* m. p.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Kiepura w B.: Książkę, o którą Pan pyta, dostanie w księgarni Gebethnera w Krakowie; kosztuje 4·20 K. Przy zamówieniu niech się Pan powoła na »Rolę«. — Jan Kramski w D. »Maćka« wysyłamy każdemu, kto nadeszle 2 K. — za zaliczką zbyt dużo przesyłka kosztuje. — Karol Słowik w Z.: W czwartym kwartale będziemy drukowali, jak to dziś piszemy w kronice, dwie nowe, bardzo zajmujące powieści. Od Nowego Roku będziemy drukowali inne, nadzwyczaj ciekawe, które również mamy już przygotowane. Staramy się dawać tylko rzeczy oryginalne, obchodzące nas Polaków. — Ignacy Pazdro w W.. Książek mamy już niewiele, niechże się więc Pan pospieszy, aby nie brakło.

Potwierdzenia prenumeraty.

Konicki Fr. z S. 1·20 K., Mleko Jerzy z L. 4 K., Rybka Jan z N. 2 K., Turczyn Fr. z U. 10 K., Barnaś Jan z M. K. 1 K., Sikora Kaz. z M. 2 K., Szatan Tomasz z R. 1·50 K., Durań Antoni z B. 1·50 K., Baran St. z J. S. 1 K., Skurzakówna Rozalia z C. 2 K., Wierzbicki Adolf z W. 1 K., Pierzga Tomasz z Z. 2 K., Jugiewicz Grzegorz z M. 2 K., Nowak z B. 1 K., Szadkowski St. z B. 2 K., Janusz Franciszek z S. 1·20 K., Kois Józef z D. 1 K., Skałka Józef z R. 1 K., Szkotnicki Wojciech z K. 2 K., Pałac Jan z D. 1 K., Samołyk Adam z D. 2 K., Dobrowolski Albin z W. G. 1 K., Franciszek Fejkiel (po Wojciechu) z K. w. 2 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 15 września:

Pszenica	Kor.	10·60	do	11·10	za 50 kg:
Żyto	„	8·10	„	8·60	„
Jęczmień	„	7·60	„	8·15	„
Owies	„	7·75	„	8·50	„
Otręby pszenne	„	5·70	„	5·90	„
Otręby żytnie	„	5·70	„	5·90	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 15 września:

Buhaje	Kor.	100	do	240	za sztukę
Woły	„	230	„	400	„
Krowy	„	90	„	270	„
Jałówki	„	72	„	280	„
Cielęta	„	30	„	70	„
Owce i kozy	„	20		30	„
Świnie bita waga)		160	„	184	za 50 kg.

Zagadki do nagrody.

1. ŁAMIGŁÓWKA LICZBOWA.

(Ułożył Kazimierz Nekvapil).

Z podanych liczb utworzyć 10 dat ważnych w historyi polskiej i podać wypadki, jakie zaszły w owym czasie:

5, 1, 6 8, 4 6, 7, 2, 1, 8 2 1, 6, 9 2 7, 1, 6, 9 6, 3 1, 6, 7, 9, 1 7, 5, 6, 0 1 7, 1 6, 1, 3, 4, 1, 6

2. ARYTMOGRYF.

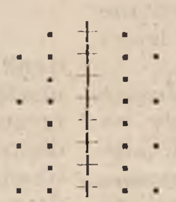
(Ułożył Kazimierz Nekvapil).

15
6 11 2
8 16 5 6 16
10 7 13 6 16
11 2 16
3
15 10 4
6 16 8 6 16
4 10 11 12 10
6 10 16
6 5 9 14 7
2

1) Spółgłoska, 2) Ptak, 3) Nazwa wody, 4) Owad, 5) Spółgłoska, 7) Używa woźnica, 7) Ptak, 8) Zwierzę żyjące w gorących krajach, 9) Płynie na wiosnę rzeka, 10) Często używany. 11) Spółgłoska.

3. STOŻEK MAGICZNY.

(Ułożył Kazimierz Nekvapil)



1) Część naczynia. 2) Dokuczają ludziom. 3) Płyną rzekami. 4) Ptak. 5) Zwierzę. 6) Inaczej więzienie we Francyi. 7) Używany w czasie pogrzebów. 8) Oznaka narodowa.

Powyższe kropki i krzyżyki zastąpić literami, aby rząd środkowy krzyżyków dał nazwę kraju w Europie znanego.

4. SZARADA.

(Ułożyła Z. Pawłowska).

Pierwszy w gatunku wytwornym
Służy jako drugie trzecie,
Przy lada posiłku skromnym
I przy najsutszym bankiecie.
Wszystkie, wyrobu różnego,
Lecz jedno zadanie mają:
Do użytku jednakiego
Wszędzie każdej używają.

5. SZARADA.

(Ułożył Franciszek Zydroń).

Wstecz druga pierwsza lub wprost sama czwarta
Wspólna nazwa cieczy,
Trzecia druga drzewa chroni,
Pierwsza druga ludzi broni
Od wielu złych rzeczy;
Całość była, minęła jak przeszłości mara,
Sławna władców tatarskich siedziba prastara.

6. SZARADA.

(Ułożył Franciszek Zydroń).

Pierwszy znajdziesz w aptece,
Druga trzecia w chmielu.
Całości w Rzymie używało wielu.

7. ZAGADKA.

(Ułożył Michał Zajdel).

Wierny towarzysz człowieka,
Ucieka, gdy on ucieka,
Gdy się powstrzyma, on staje,
Nie zawsze widzieć się daje.
O jadło, napój nie prosi,
Odzienia wszakże nie nosi,
Nigdy nie wymawia słowa...
Zgadnijcie! od czego głowa!

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, pięknie oprawną książkę.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 27 września 1913 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z numeru 36 »Roli«: 1. Łamigłówka: **Wyspiański-Sędziowie.** 2. Kwadrat: **Katar, karta, krata, tarka, karat.** 3. Szarada: **Buraki**, 4. Szarada: **Pardon**, 5. Szarada: **Neapol**, 6. Szarada: **Pasieka**, 7. Szarada: **Palestyna.**

Dobrego rozwiązania **wszystkich** zagadek nikt nie nadesłał.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara
Drukarnia „Czasu" w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.